TU SIĘ CZEKA

◀ *czytaj na stronie 8*

DEBICH i jego orkiestra

▼ *czytaj na stronie 6*

Nr 15 (59) CENA 1 Zł

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 12 kwietnia 1959 r.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Misterium w Woźniakowie

Trzy uderzenia w gong, gasną światła, chwila oczekiwania. Potem wkracza muzyka, naiwna i prosta, muzyka za serce chwytająca. Tak rozpoczyna się misterium wielkanocne w Woźniakowie. Nie wykończony jeszcze kościół przy Seminarium Duchownym Księży Salezjanów mieści jak obliczyłem, niewiele ponad 600 widzów. Mała scenka wbudowana jest w miejsce głównego ołtarza. Nad nią wiszą flagi — biało-czerwona i biało-żółta.

Widzowie przyjeżdżają furmankami i ciężarówkami, idą pieszo z okolicznych wsi i z pobliskiego Kutna. Czapki na bakier, ręce w kieszeniach, lakierki na słoninie i buty z cholewami, zrudziałe chusty kobiet, głosy dzieci. Widzowie teatralni. Ci, którzy nie oglądali ni „Hamleta", ni „Kiss me Kate". Ci, dla których księża wystawiają misterium o Cudownym Zmartwychwstaniu.

Uwertura dobiega końca, znów chwila oczekiwania, powoli podnosi się kurtyna. Na scenie ukazują się pielgrzymi, zdążający do Jerozalem. Wyciągają ręce, wskazują przed siebie, śpiewając, odchodzą tam, gdzie na horyzoncie widnieją wycięte z tektury i od dołu podświetlone domki. Teraz staje przed nami jeden z bohaterów nadciągającego dramatu. To Judasz, w czerwonej szacie, włosy zmierzwione. Judasz chciwy i niedobry. Widzowie rozpoznają go natychmiast. Budzi wstręt i przestrach, nieświadomy losu, potrząsa sakiewką ze srebrnikami. Wiemy, co go czeka: stryczek i potępienie. Interwencja anioła — a anioł, to dziewczynka z białymi włosami i z czerwonym nosem — nie skieruje zdrajcy na drogę cnoty. Bo oto już wbiegają na scenę rzymscy legioniści z płonącymi pochodniami i chwytają, wiążą, wiodą do ciemnicy. Zmiana dekoracji; kur pieje trzy razy, legioniści — złote kaski, helankowe skarpetki — śpiewają piosenkę o mieście położonym na siedmiu wzgórzach. Drżą im łydki, może to z zimna, może z tremy, a może ze strachu przed sądem nadchodzących wieków chrześcijańskiej cywilizacji. Zmiana dekoracji, Piłat umywa ręce, poganin to, godny potępienia, choć tli się w nim iskra szlachetności czy może tylko zdrowego rozsądku. Waha się, czymże są jednak racje intelektualisty rzymskiego dekadenta, wobec terroru zbiorowości? By stało się, co stać się musi, Piłat ulega. Potem ukrzyżowanie i modlitwa apostołów i burza nad Jeruzalem, burza z grzmotami, piorunami i czerwonym światłem reflektorów. Judasz zarzuca sobie powróz na szyję, kamień nagrobny zostaje odwalony, strażnicy — porażeni światłem. Alleluja.

Tak toczy się rzecz o Męce Pańskiej i Cudownym Zmartwychwstaniu. Tak toczy się woźniakowski spektakl, w którym każdy z zasłuchanych i szczerze wzruszonych widzów znajdzie coś dla sie-

Dokończenie na str. 3

SKARBY

czytaj na str. 5

...Na romantyków czeka nocą księżyc spacerujący po falach Dunajca...

...Aż się chce wsiąść w pociąg i do podkrynickich rejonów...

Dr Fiałek — Przewodniczący Prezydium PRN w Nowym Sączu.

JERZY PILICHOWSKI

KTO CHCE KUPIĆ KAWAŁEK ziemi sądeckiej?

— Doprawdy nie żartuję — powiada przewodniczący Powiatowej Komisji Planowania ob. dr Fiałek.

— Aha! przypomina mi się, przecież powiat nowosądecki, eksperymentuje gospodarczo już przeszło rok! Inicjatywę samorządności poparła Rada Ministrów słynną w kraju majową uchwałą, która udziela ojcom powiatu szerokich uprawnień w dziedzinie samodzielnej aktywizacji Sądecczyzny i zobowiązuje wszystkie resorty do wspomagania „Kolumbów" Anno Domini 1958.

— Prezydium PRN w Nowym Sączu — ciągnie dr Fiałek — oczekuje poważnych propozycji również z Łodzi. Ktokolwiek chce budować willi, domy wczasowe, sanatoria — niech się zastanowi. U nas: najzdrowiej, najprzyjemniej i... najtaniej. Dla Związków Zawodowych, fabryk cena działek niewiarygodnie niska — symboliczne złotówki.

— A dlaczego tak tanio? — pytam urzeczony ostatnim sloganem reklamowym.

— Tanio, gdyż działek nie sprzedajemy po to, by zarobić, lecz po to, by ożywić region, dać mieszkańcom Sądecczyzny dodatkowe źródło podnoszenia swoich dochodów, a wczasowiczom pełnowartościowy wypoczynek.

— Chyba warto rozważyć i w Łodzi możliwość nabycia takich działek.

— Nie potrzeba od razu się decydować, można obejrzeć, zastanowić się, wykalkulować z ołówkiem w ręku. Jeśli w tym roku łódzkie Związki Zawodowe i fabryki przeznaczyły już pieniądze na inne cele, warto pomyśleć o przyszłych latach. Koszty budowy willi, domków campingowych wypadną na Sądecczyźnie taniej. Na miejscu jest drzewo, kamień budowlany, wapno i wielu chętnych ludzi do pracy. Łódź nie powinna być ostatnia i już dziś myśleć o jutrze, bo jutro inni zając mogą najatrakcyjniejsze działki.

A na Sądecczyźnie naprawdę warto budować i spędzać wczasy. Sezon tam trwa cały rok — możliwość wykorzystania tych willi jest większa niż nad morzem czy jeziorami, gdzie sezony trwają po 3—4 miesiące.

Można nie tylko wypocząć, ale nawet podleczyć się trochę wodami mineralnymi, a zwłaszcza jeśli ktoś ma nadszarpnięty układ trawienia lub krążenia (komu to się

(Dokończenie na str. 3)

I ja widziałem zimą „baranki" spacerujące o zmierzchu do wodopoju...

Misterium w Woźniakowie

DOKOŃCZENIE ze str. 1

bie. Trochę śpiewu i trochę muzyki, trochę naturalistycznej prawdy przeżycia i jeszcze te dekoracje — skały, drzewa, krzaki, jak żywe. Aktorami są klerycy z Seminarium Duchownego w Woźniakowie, reżyser i autor pozostają, niestety, nieznani. Z pewnością stwierdzić możemy tylko to, że autorem i reżyserem woźniakowskiego spektaklu nie jest lud. Tak, wielki Anonim, sztuka ludowa nie ma udziału w kościelnym misterium — lub, nazwijmy inaczej, w kościelnej operze — w roku pańskim 1959. Nie powinno to nas dziwić. Więcej. Nie mamy prawa się temu dziwić. Któż bowiem, jak nie my sami, powoli i precyzyjnie mordujemy ludowy autentyk i ludowy motyw w sztuce? Któż, jak nie my sami, uznajemy ze esencję sztuki ludowej piosenki „Mazowsza" i popielniczki z Cepelii? Naprawdę, nic dziwnego w tym, że realizator woźniakowskich misteriów zrezygnował z tradycji sztuki ludowej. I wybrał tradycję inną, niezbyt odległą, a na podbicie serc i umysłów niewyrobionego widza obliczoną. Tak, to XIX-wieczny teatr iluzji, broniący z niejakim trudem swoich ostatnich scen obrotowych w wielkich miastach, rozpoczyna nową ekspansję. Podbija wieś. Tam będzie święcił swoje przyszłe triumfy, walcząc — na pewno zwycięsko — z prymitywem i autentykiem. Tam będzie podawał, jako sztukę, konwencje opery i naturalistycznego przeżywania. I konwencje te zostaną przez widzów przyjęte z wdzięcznością.

Nie wiem, ilu ludzi oglądało misterium księży Salezjanów. Ale wiem, że wszyscy, którzy je oglądali, wyszli — czapki na bakier, zrudziałe chusty kobiet — głęboko wzruszeni, przekonani o tym, że byli w prawdziwym teatrze. Nie mnie występować przeciw temu przekonaniu. Nie mam nic przeciw woźniakowskim misteriom i operze, realizowanej siłami amatorów. Do Woźniakowa nie dociera przecież teatr Dejmka z „Żywotem Józefa" ni teatr Skuszanki z „Balladyną". Być może, raz na rok czy raz na dwa lata przyjeżdża tam jakiś mały teatr objazdowy i w nie ogrzewanej szopie wystawia Zapolską lub Rittnera. Nie on, oczywiście, będzie konkurował z teatrem księży Salezjanów. Jak sądzę, ten właśnie teatr, a nie ów objazdowy, z Zapolską czy Rittnerem, jest w Woźniakowie i okolicach prawodawcą, twórcą norm etycznych i estetycznych. Cóż z tego, że niezbyt odpowiada on moim ideałom sztuki teatralnej? Cóż z tego, że obcy jest mi ideowo? Faktem jest to, że ten teatr istnieje, gra i wzrusza. A wielki teatr ludowy, teatr na miarę marzeń Leona Schillera, jest, jak na razie, fikcją, ideą, co zostanie zrealizowana kiedyś, po latach, być może, w przyszłości... Fakt jest faktem — czego my nie zrobimy, zrobi za nas kto inny.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Kto chce kupić kawałek ziemi...

(dokończenie ze str. 2)

nie przyda!). Na „żołądkowców" czeka w Nowosądeckim kilka tysięcy źródeł i źródełek, dających wody zbliżone składem chemicznym do krynickich. Wiele z nich można pić bez zaleceń lekarza.

Na kajakowców i wędkarzy czeka piękne Jezioro Rożnowskie i pobliskie góry. Słowem idealne miejsce wczasów dla wszechstronnych maniaków w zakresie górskiej włóczęgi, kajaków, ryb, no i „syren" — nie tylko warszawskich.

Góry nie tylko w Zakopanem są ładne. Bogaci ludzie, którzy przed wojną odwiedzali pobliską Krynicę — wiedzieli co czynią. Beskid Sądecki tak malowniczo przełamuje Poprad, że kto tu raz przyjedzie, niełatwo zapomni i na pewno zjawi się tu jeszcze nieraz. Piękne jest również Podgórze Rożnowskie — część Beskidu Zachodniego, Beskid Grzybowski oraz szczyty: Jaworzyna (1.116 m npm.), Pisana Hala, Runek, Nad Kamieniem i wiele innych.

Na amatorów urlopowej włóczęgi czekają już w 1959 roku nowe schroniska, a nawet statek na jeziorze, który ma być zakupiony na Węgrzech. W przyszłych latach zostanie na ziemi sądeckiej wybudowanych jeszcze więcej schronisk, a nawet parkingi samochodowe.

Amatorzy „białego szaleństwa" mają do dyspozycji 100 km szlaków narciarskich. Oczekują na nich przecudne, śnieżne krajobrazy. Ludzie z odrobiną fantazji ujrzą zimą nad Popradem maszerujące o zmierzchu owce do wodopoju.

...Na romantyków czeka nocą księżyc, spacerujący po falach Dunajca i wszystkich małych rzeczek czy górskich strumieni.

Zaplecze powiatu stanowi ładne miasteczko z mnóstwem kolorowych domów i sklepów, wcale nieźle zaopatrzonych nawet w artykuły rzadkie, importowane (słowo daję, piłem tam wyśmienity bułgarski sok pomidorowy, którym poczęstował mnie dr Fiałek).

Słowem: aż się chce wsiąść w pociąg i pojechać do podkrynickich rejonów. Niestety... Ech, gdyby wszyscy amatorzy mieli gdzie zamieszkać...

Łódzkie Związki Zawodowe, Ojcowie miasta z Prezydium RN! Zastanówcie się dobrze, przeliczcie co zostało w kiesach, nuż uda się coś wysupłać!

My, łodzianie, mamy przecież zapylone płuca od kurzu.

J. PILICHOWSKI

Zdjęcia autora.

PS. Sądecczanie są bardzo uprzejmi. Zapraszają miłych gości z RN m. Łodzi i Związków Zawodowych, by obejrzeli rejon. Gospodarze biorą „na siebie" hotele, samochód i... inne obowiązki.

Wystarczy tylko zawiadomić listownie dr Fiałka o terminie przyjazdu (osobiście reflektuje na ten wyjazd, a także i Wam powiadam na ucho: śliwowica nowosądecka jest dobrra, oj dobrrra!).

A teraz rzecz biorąc poważnie: myślę — kupił nie kupił, potargować warto!

(JP)

Foto: Stefan Michałowski

EDWARD EMSKI

Pustynne szczury

Dwa kontrtorpedowce i otaczające je łodzie desantowe nabierają szybkości. Widmowa flotylla zbliża się do zakotwiczonego u wejścia do portu okrętu włoskiego, mija go, już jest w basenie.

* * *

Major Popski widzi nadlatujący nad jego jeep samolot.

— Zaraz otworzy do mnie ogień — myśli.

Ale lotnik nie zauważył małego samochodu, nurkuje dopiero na stojącą dalej półciężarówkę — wóz radiowy patrolu gwardii. Za jego przykładem idzie i drugi pilot. Samochód zatrzymał się na grzbiecie gołego wzgórza, jest doskonale widoczny. Samoloty ostrzeliwują go tak długo, aż się zapala. Załodze udaje się dostać do innego wozu, nikt nie został trafiony.

Samoloty odlatują na północ. Po minucie zaczyna się gorączkowy ruch: szwadron rusza, wozy kryją się w skąpym cieniu rzadkich, stojących pojedynczo drzew akacjowych, załogi rozpościerają siatki maskownicze. Samoloty wracają dopiero po pół godzinie, kierują się na słup dymu unoszący się z płonącego w dalszym ciągu wozu radiowego, który został o kilka kilometrów w tyle za szwadronem.

Samoloty krążą w poszukiwaniu dalszych wozów. Po jakimś czasie wykrywają następny i ostrzeliwują go w wielokrotnych nawrotach, aż zapala się również. Po pięćdziesięciu minutach odlatują, by uzupełnić paliwo i amunicję. Trwa to dwadzieścia minut, i znów są nad szwadronem. Tak aż do wieczora.

W czasie dwudziestominutowych przerw załogi pośpiesznie przerzucają wozy w inne miejsca, zakopują część zapasów benzyny, wody i żywności.

Popski i Wilder chcą przejść do obrony czynnej, otworzyć do samolotów ogień z karabinów maszynowych. Major Easonsmith nie zgadza się — jego zdaniem da to jedynie straty w ludziach, których można uniknąć, gdyż lotnicy widzą i ostrzeliwują tylko samochody, a nie załogi, które kryją się z dala od wozów.

O godzinie 13.30 płonie już pięć wozów. Samoloty zabierają się do ostrzeliwania szóstego, który stoi pod drzewem akacji. Po pierwszej serii z karabinów maszynowych spod samochodu wyskakuje człowiek, biegnie, następna seria, pada i już nie wstaje, gdy samoloty odlatują.

Major Easonsmith składa książkę, którą czyta, wstaje.

— Ja pójdę, Jake — mówi major Popski.

Wstaje, idzie do najbliższego drzewa. W pół drogi zaskakuje go samolot, leci nie wyżej jak trzydzieści metrów. Major doskonale widzi twarz pilota, który wychyla się z kabiny, spostrzega majora, oddaje do niego dwie serie i odlatuje. Z przeciwnej strony nadlatuje drugi samolot. Major dopada smukłego drzewka, przytula się do niego. Widzi, jak samolot nurkuje na drzewo, pluje pociskami, chybia. Kiwa pilotowi ręką, gdy ten odlatuje. Skok do następnego drzewa — goni go pierwszy samolot, który w międzyczasie nawrócił. A teraz jest i drugi — nurkują na przemian, raz z prawej, raz z lewej. Raptem wszystko cichnie, samoloty odleciały. Major rozgląda się — człowieka, któremu chciał udzielić pomocy, nigdzie nie ma. Spostrzega go dopiero po chwili — za grzbietem wzgórza zaczyna się wadi, w ścianie którego woda wyżłobiła w jednym miejscu płytką jaskinię pod półką skalną. Człowiek leży w tej jaskini.

— Nie, nie jestem ranny, trochę mną wstrząsnęło. Za chwilę przyjdę do siebie. Niech pan tu zostanie, majorze, tu jest bezpiecznie.

Major zostaje. Samoloty znów wróciły i teraz szaleją nad wadi — odkryły wóz stojący na jego zboczu, ostrzeliwują go bez przerwy prawie godzinę. Tysiące pocisków zagrzebują się w piasku i odpryskują od skał jaskini.

Na drugim zboczu wadi pasie się osiołek. Obgryza spokojnie liście krzaków, tak jakby pociski nie ryły ziemi o trzydzieście metrów od niego.

Teraz w wadi ukazuje się jego właściciel, obszarpany Arab, i przysiada przy jaskini. Zwraca na strzelaninę tyleż uwagi, co jego osiołek. Rozpoczyna uprzejmą rozmowę, w której nie porusza ani dziwnej i niedystyngowanej pozycji, jaką major zajmuje leżąc na brzuchu, ani zakrwawionego bandażu na jego ręce, ani palących się samochodów, ani samolotów szalejących nad nimi. O co mu chodziło? To okazało się na końcu. Chętnie wymieniłby kwaśne mleko na parę papierosów. Może je zaraz przywieźć ze swego namiotu. Ajua, Effendi? Po chwili siedzi już na osiołku. Kule gwiżdżą dookoła

Samoloty znów odlatują. Tym razem ich prawie godzinne wysiłki były daremne — samochód na zboczu wadi jest nadal nie naruszony. Major sprowadza go ostrożnie na dół. Samoloty wracają, nie znajdują już wozu, przez jak'ś czas krążą, szukając go, potem spostrzegają inny, znów zaczynają ostrzeliwanie.

* * *

Promienie słońca dobrotliwie grzeją postać wyciągniętą na piasku plaży. Chciwie wysysają z jej munduru wilgoć. Sól morska zostaje i tworzy coś w rodzaju białawej skorupy, która po wyschnięciu nada mundurowi sztywność pancerza.

Postać porusza się z jękiem, jej ręka wędruje powoli ku głowie, dotyka okolic ciemienia. Głośniejszy jęk — stęknięcie, ręka opada. Na rękawie staje się widoczna odznaka stopnia bosmana.

Powoli upływa czas. Promienie słońca przestają być dobrotliwe, stają się wrogie. Już nie grzeją, a palą. Po twarzy leżącego zaczynają powoli spływać strużki potu.

Wyciągnięta postać znów się porusza. Powoli, z wysiłkiem, próbuje się podnieść. Po jakimś czasie jest na czworakach, pełznie w stronę pobliskiej nawisłej skały. Cień!

I znów upływa czas. Postać pod skałą już nie leży, a siedzi, oparta plecami o ścianę.

Jasność, huk, wstrząs, woda. Jasność, huk, wstrząs, woda. Jasność...

Stopniowo myśli bosmana przełamują ciasny, powtarzający się krąg tych czterech pojęć.

Jasność... Było ciemno. Wchodzili do portu w Tobruku. Ich okręt jako drugi, otoczony łodziami desantowymi. Szli powoli. Pokład zapełniony piechotą morską. Raptem ze wszystkich stron buchnęły potężne światła reflektorów przeciwlotniczych.

Huk... Zaraz potem odezwały się działa obrony wybrzeża. Ogień bezpośredni, z bliskiej odległości, prosto w twarz. I chyba jednocześnie karabiny maszynowe, chociaż ich grzechot ginął w huku armat zlewającym się w jeden ciągły, o jednakowym prawie nasileniu grzmot.

Wstrząs... Tak, tak to chyba najlepiej określić, nie uderzenie, a wstrząs wysokiej częstotliwości, drżenie przebiegające okręt i ludzi na nim. Z czego ich trafili? A może wybuchła amunicja? Raz był storpedowany, ale to wyglądało inaczej, nie, tym razem nie była to torpeda...

Woda... Znalazł się w wodzie. Chyba został zmieciony z pokładu wybuchem?

Jasność... Czegoś brakuje. Tak, Jasność, huk, wstrząs, woda — powinno być jeszcze uderzenie. Uderzenie w głowę, w okolicę ciemieniową. Ale uderzenia nie było. Jak to nie było? Boli jak jasna cholera, lepiej o tym nie myśleć, pod dotknięciem palca miękko, jakby nie było kości, krew... Uderzenia nie było. A może uderzenie, to był wstrząs? Nie, nie dopłynąłby aż tutaj, taki kawał od portu. Uderzenie musiało być później. Może fala rzuciła nim o któraś z tych ostrych jak brzytwa skał? Nic nie pamięta.

— Jasność, huk, wstrząs, woda. Woda! Pić!

(d. c. n.)

OSKAR LINDAY

Operacja „MERKURY"

(VII)

Godziny nocne z 20 na 21 maja były najcięższymi godzinami niemieckiego desantu. Pozbawieni skutecznej osłony lotniczej, bez czołgów i ciężkiej artylerii, bez rozbudowanej sieci umocnień z trudem utrzymali pozycje tak krwawo wywalczone poprzedniego dnia. Równocześnie Anglicy, świadomi przewagi jaką daje im noc, dokładali wszelkich wysiłków, aby zniszczyć desant. Brakło im jednak rozmachu. Brakło decyzji śmiałego podciągnięcia wszystkich sił do zagrożonych rejonów. Od jedenastej wieczorem do drugiej nad ranem przeprowadzili pięć morderczych szturmów. Ilość zabitych po obu stronach osiągnęła zawrotną liczbę pięciu tysięcy ludzi, co stanowiło ponad 15 proc. znajdujących się na wyspie żołnierzy. Żaden szturm nie dał rezultatu. Wciąż brakowało rezerw, które nadchodziły zbyt późno, a wkraczając do bitwy znów nie miały za sobą wsparcia... „Maszynka do mielenia mięsa" — jak nazwał tę serię tragicznych szturmów ich uczestnik, oficer angielski. „Fiasko tej krytycznej nocy, to nie tylko brak szczęścia i odwagi" — zaopiniowali historycy II wojny.

* * *

Niemcy utrzymali wszystkie strefy opanowane desantem w dniu 20 maja. O świcie 21 maja nasilenie operacji wzrosło. Wielka ilość myśliwców i bombowców nurkujących przykuła Anglików do ziemi. Na lotnisku pod Khania, mimo ciągłego ognia brytyjskiej artylerii lądowały bezustannie setki szybowców z piechotą górską, sprzętem i zaopatrzeniem.

Około południa nastąpiły dwa dalsze ataki spadochronowe — pod Retymnon i pod Heraklionem. Równowaga linii frontu została w ten sposób naruszona i chociaż oba lądowania były słabsze od ataków spadochroniarzy z poprzedniego dnia, to jednak w każdej chwili mogły się stać ośrodkami nowej strefy wzmożonych lądowań szybowcowych. Generał Fryberg zmuszony został do podzielenia swych sił na trzy części.

Pomimo tego, że na wyspie ciągle jeszcze Anglicy mieli liczebną przewagę, nadchodząca noc zapowiadała się dla Niemców mniej krytycznie.

* * *

I teraz właśnie nastąpiły niespodziewane wydarzenia, do tej pory jeszcze nie wyjaśnione: wielki bluff czy błąd operacyjny. Noca z 21 na 22 maja Niemcy podjęli desant morski łodziami z Peloponezu na Kretę. Desant skończył się zupełnym fiaskiem i śmiercią trzech tysięcy żołnierzy niemieckich. Śmiało można by go zaliczyć do błędów wojennych, gdyby... gdyby nie to, że był zbyt oczywistym błędem. W połowie 1941 r. Morze Śródziemne mocno trzymała flota brytyjska. Podjęcie 400-kilometrowej wyprawy na zwykłych łodziach szturmowych i pontonach było wyzwaniem rzuconym olbrzymowi przez bezbronnego karła. Ale...

Ale za to na wyspie, korzystając z odejścia floty wraz z jej potężną artylerią pokładową, Niemcy skoncentrowani w głównej strefie lądowania, podjęli nocny szturm i nad ranem poszerzyli swój obszar tak wydatnie, że lądowiska szybowcowe znalazły się poza zasięgiem angielskich dział.

W dniach 22—24 maja walki na Krecie powoli, ale systematycznie przechylały szalę zwycięstwa na stronę atakujących. Wprawdzie prasa angielska, na ogół ostrożna po smutnych doświadczeniach lat ubiegłych, zgodnie głosiła, że „sytuacja na Krecie jest opanowana, a szybko zdążające posiłki z Afryki przekreślą nadzieje hitlerowców". Jednak już 24 maja stało się jasne, że wyspa padnie. Przede wszystkim posiłki z Afryki były mitem. W Libii święcił triumfy nowoupieczony „Scipio-africanus" — Rommel. Anglicy musieli decydować: albo Kreta, albo Kanał Sueski. Wybrali, oczywiście, to drugie.

25 maja padło Khania i generał Fryberg zaczął myśleć o ewakuacji. Niemieckie desanty, tworząc rozproszone ogniska, wciąż okalały najżywotniejsze punkty oporu, paraliżując wszelkie usiłowania stabilizacji frontu. Tego dnia było już na Krecie więcej atakujących niż obrońców. Obrońcom, pozbawionym zaopatrzenia, kończyła się amunicja. Atakujący mieli jej pod dostatkiem. „Junkersy" bez chwili przerwy kursowały między Koryntem i Khania, przewożąc nawet haubice polowe 120 mm i terenowe samochody. Termin „most powietrzny" powstał w maju 1941 r., a nie w 1947, w czasie berlińskiego kryzysu.

* * *

26 maja sytuacja Anglików stała się tak trudna, że w ogóle szanse ewakuacji stanęły pod znakiem zapytania. Trzeba się było zdecydować na przebicie z północy na południe. Ataki nurkujących bombowców i łodzi podwodnych zmusiły bowiem flotę brytyjską do schronienia się w południowych portach wyspy i admiralicja odmówiła osłaniania ewakuacji z portów północnych.

Drogę na południe przegradzało ognisko desantowe pod Retymnon. Tu skierowała się furia ostatniego brytyjskiego szturmu. Walki trwały bez przerwy 18 godzin i w ich wyniku zginęli wszyscy niemieccy spadochroniarze, zrzuceni w tym rejonie. Wielki — ale bardzo spóźniony sukces.

28 maja rozpoczęła się ewakuacja.

30 maja Niemcy niepodzielnie panowali nad całą wyspą.

* * *

Bilans strat ludzkich tej bitwy był, jak na ówczesne proporcje, przerażający. W walkach o Kretę ogółem wzięło udział 60 tysięcy ludzi (27 tys. Anglików i 33 tys. Niemców). Poległo 16 tysięcy (9 tys. Niemców i 7 tys. Anglików). Odniosło rany ponad 12 tysięcy ludzi. Ogółem więc połowa walczących poległa lub została raniona. Żadna bitwa w Europie nie miała tak krwawego przebiegu.

KONIEC

Goering dekoruje szczególnie zasłużonych zdobywców Krety.

SKARBY

Według
ROBERTA
CHARROUX

MILIARDY monet i kosztowności śpią w głębi ziemi

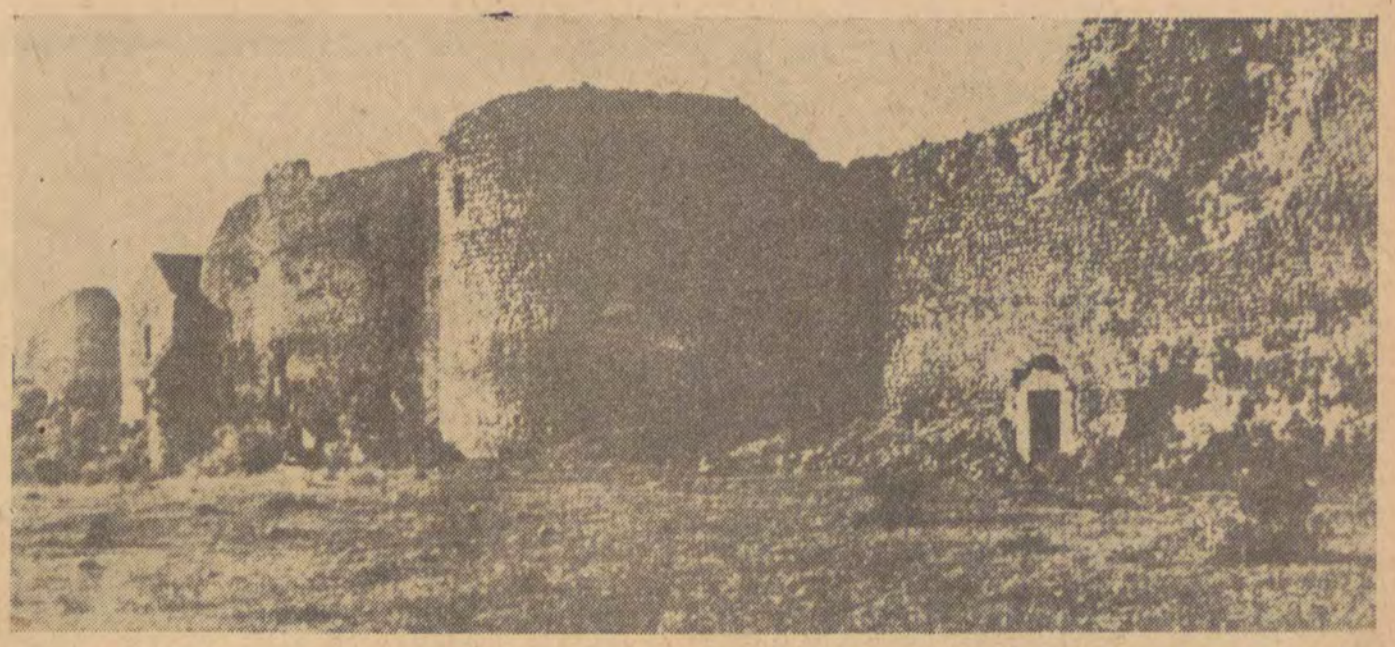

Historie o skarbach, głęboko ukrytych i cudownie odnalezionych, nie przestają zaprzątać wyobraźni ludzkiej. Poszukiwanie ukrytego skarbu to coś bardziej frapującego niż loteria. To połączenie sprytu, pracy i przygody. Albowiem skarby takie istnieją naprawdę i są nawet liczniejsze niż przypuszczamy.

Francja, kraj wojen, rewolucji i inwazji, o starej i bogatej cywilizacji — jest dosłownie kopalnią tajemniczych skarbów. W głębi ziemi francuskiej spoczywają skarby prawdziwe, najzupełniej autentyczne — i wiele innych, owianych legendą, które prawdopodobnie nigdy nie istniały.

Lecz czy rzeczywiście możemy być pewni, że wcale nie istniały?

Gleba francuska jest przesycona złotem, srebrem i klejnotami, z których rokrocznie drobna cząstka wydobyta zostaje na światło dzienne.

PODZIEMNE MIASTO KATHARÓW

W XII wieku powstała na południu Francji sekta religijna katharów, przeciwko której papież Inocenty III ogłosił wielką krucjatę. Pod koniec 1243 roku dowódca wojsk królewskich w Carcassonne rozpoczął oblężenie ostatnich katharów, broniących się w zamczysku Montségur, położonym na wysokiej skale. Latem 1244 roku rycerzom krzyżowym udało się zająć jedno skrzydło fortecy. Katharzy, uważając się za straconych, rzucili się w płonący stos, który rozpalili własnymi rękoma. Inni zostali żywcem spaleni przez zwycięzców.

O katharach wiedziano, iż posiadają niezmierzone bogactwa, które zostały wywiezione z fortecy jeszcze przed oblężeniem.

Jednakże wedle rycerza Armand-Roger de Mirepoix, który przeżywał te dramatyczne chwile, skarb pozostawał w zamku co najmniej do lutego 1244 roku. Wówczas ciemną nocą spuszczono z fortecy na długich linach trzech ludzi: Amiel, Aicart i Hugo, którzy mieli przenieść skarby w bezpieczne miejsce. Ponieważ nie zdołali jednak przedrzeć się przez szeregi oblegających, trzej śmiałkowie zakopali skarby albo w lasach Serrelongue albo też w grocie Lombrive, w której była zainstalowana tajna kaplica sekty katharów. W kaplicy owej setki wojowników katharskich dało się zamurować wraz ze swym biskupem i, nie chcąc poddać się wrogowi, zginęło śmiercią głodową.

Wśród mieszkańców okolicznych wsi krążą jednakże po dziś dzień inne jeszcze wersje. Jedne z nich głoszą, że niezmierzone bogactwa zostały spuszczone w głąb studni zamkowej w Montségur, którą następnie zasypano kamieniami. Inne — że rycerze katharscy ukryli je w podziemnych korytarzach, ciągnących się na wielkiej przestrzeni pod całą fortecą.

Pewien francuski historyk, zaufawszy ludowym opowieściom, napisał, iż cała góra zamkowa poorana jest korytarzami i długimi kamiennymi galeriami, tworzącymi podziemne miasto. Jednakże zawodowy poszukiwacz skarbów, Arnaud de Bordeaux, po wieloletnich badaniach doszedł do wniosku, iż miasto podziemne „należy między bajki włożyć". Mimo to nie wolno odrzucać hipotezy, że ogromne skarby katharów ukryte są gdzieś w okolicy zamku Montségur.

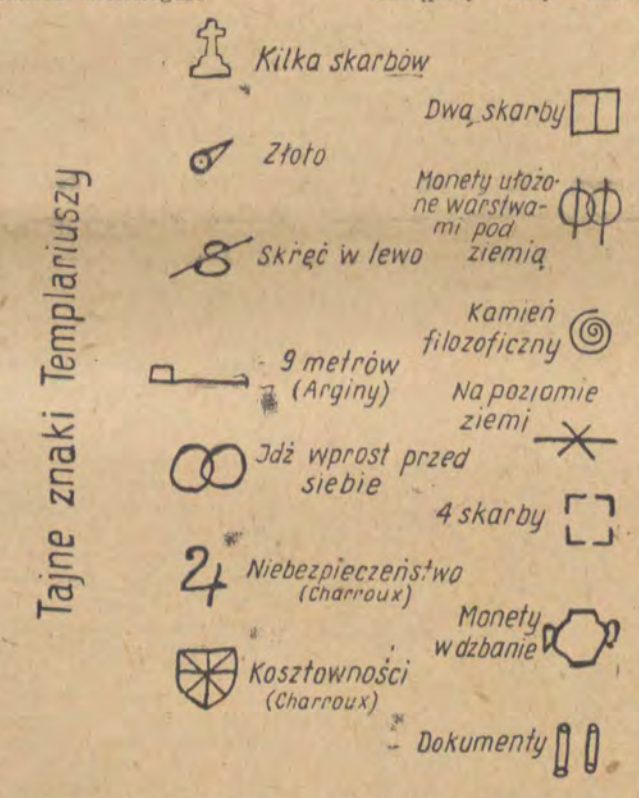

ZŁOTY RELIKWIARZ I „BIAŁA DAMA Z CRAIN"

Historia skarbu „Damy z Crain" rozpoczyna się pewnej ponurej nocy wrześniowej roku 1567.

Poprzedniego dnia hugenoci opanowali miasto Auxerre, wymordowali katolików i zrabowali kościoły.

Stare kroniki opisują, jak to pan Loron de Crain naładował na „jedenaście lub dziesięć wózków" łup zdobyty w opactwie Saint Germain i kazał go przewieźć do swej „maliny" w Maison Blanche.

Pan Loron zamieszkiwał wówczas z małżonką, trojgiem dzieci i liczną służbą, zamek obronny w Crain. Wśród służby znajdowała się jedenastoletnia Claudine Ravier. Była ona obecna w chwili, gdy do Maison Blanche przybyło „jedenaście lub dziesięć wózków" załadowanych cennymi przedmiotami, klejnotami, krzyżami i wielkim złotym ołtarzem z opactwa Saint Germain. Pan na Crain pragnął rozbić na drobne kawałki i stopić wielki złoty ołtarz. Kiedy się jednak okazało, iż jest to praca wymagająca dużo trudu i czasu, zdecydował się zakopać skarb w całości.

Była głęboka noc, kiedy uznano iż wykopany dół w fosie jest dostatecznie głęboki dla zabezpieczenia skarbów. Młoda służebna Claudine przyświecała kopiącym trzymając płonącą pochodnię. Sam pan de Loron, żona jego i zaufany murarz, opuszczali złoty ołtarz do głębokiego rowu.

Wtedy właśnie młoda służąca miała wizję...

Z mroku nocy wyłoniła się postać „białej damy", która ze wszystkich sił starała się zahamować bezbożne dzieło. Mimo to skrzynie ze skarbami zakopano.

Następnej nocy murarz został zamordowany, a młoda Claudine ciężko poraniona. W parę lat później sam pan de Loron został pojmany i powieszony przez swoich wrogów. W roku 1610 Claudine, której ciążył mimowolny udział w świętokradztwie, opowiedziała przeżycia owej strasznej nocy paru okolicznym notablom. Jednakże nie mogła sobie już przypomnieć dokładnego miejsca gdzie zakopano klasztorne skarby. Na ogół przypuszcza się, iż leżą nadal w głębokiej fosie. W roku 1957 niejaka pani Ozann okultystka, nabyła Maison Blanche w przekonaniu, że uda się jej dotrzeć do ukrytych skarbów. Podobno poszukuje ich gorliwie, ale jak dotąd, na próżno.

NIERZMIERZONE BOGACTWO ZAKONU TEMPLARIUSZY

W ruinach prastarych zamczysk Francji znajduje się prawdopodobnie większość słynnych skarbów Templariuszy. Wielki skarbiec tego zakonu został zrabowany przez króla Filipa Pięknego w październiku roku 1307. Wydaje się jednak, że w niektórych komanderiach rycerze zakonu, uprzedzeni na czas o grożącym niebezpieczeństwie, zdołali ukryć bezcenny majątek.

Rozmiłowani w naukach okultystycznych i kryptografii Templariusze pozostawili na murach zamczysk znaki, które odczytać potrafią tylko wtajemniczeni członkowie zakonu. Są to tzw. „znaki klucze" i ten, który je zrozumie, trafi do ukrytych skarbów...

TAJEMNICA ZAMKU MONTCROIX

Przewodniczący Międzynarodowego Klubu Poszukiwaczy Skarbów historyk francuski Robert Charroux nie chce podać prawdziwej nazwy zamku, w którym jakoby ukryty jest najcenniejszy skarb Templariuszy. Będziemy go więc zwali fikcyjnym mianem zamku Montcroix. Obecną właścicielką zamku jest pani M., wdowa po Polaku.

— Mąż mój — opowiada pani M. — jest potomkiem pewnego napoleońskiego żołnierza. Był on ranny w czasie rosyjskiej kampanii, pozostał w Polsce i założył tam rodzinę. Syn jego za udział w powstaniu został deportowany na Sybir i pozostał tam już do końca swego życia. Mąż mój, wnuk owego powstańca, grzebiąc w bibliotece dziadka znalazł starą francuską książkę do modlitwy. W środku leżała pożółkła kartka z napisem w języku polskim: „Pod dawnym zamkiem Montcroix znajduje się skarb Templariuszy. Idź i szukaj. Święty i Prawda wskażą ci drogę".

Modlitewnik zaginął w czasie zawieruchy wojennej, jednak pan M. zapamiętał dobrze tekst dziwnego zlecenia.

W roku 1948 państwo M. osiedlili się we Francji i zakupili starą, opuszczoną farmę. Do farmy należały też ruiny jakiegoś zamku o nazwie Monteroix. Powoli, powoli pan M. doszedł do wniosku, że „jego" Montcroix jest właśnie tym zamkiem, o którym pisano w starym dokumencie.

Montcroix jest rzeczywiście jedną z dawnych siedzib Templariuszy, z ruinami fortecy zniszczonej przez Filipa Pięknego.

W starej kaplicy zamkowej znajduje się obraz datowany z r. 1715, przedstawiający św. Celestyna w adoracji przed świetlaną postacią, na której widnieje napis „Veritas" (Prawda).

Tak, jak w starym dokumencie, był więc i Święty i Prawda. Wówczas do zamku sprowadzono fachowców z detektorami, którzy stwierdzili, iż pod zamkiem znajduje się cały labirynt podziemnych korytarzy, sal, kryjówek i nawet cmentarz. Rozpoczęto poszukiwania za legendarnymi skarbami Templariuszy. I nie znaleziono niczego!

Widocznie sama nowoczesna technika nie doprowadzi do średniowiecznych skarbów. Mając do czynienia z takimi mistrzami kryptografii, jakimi byli Templariusze, trzeba raczej oprzeć się na logicznych dociekaniach. Prawdopodobnie „Święty i Prawda" rzeczywiście w jakiś sposób wskazują drogę do ukrytego skarbu.

W każdym bądź razie, tajemnica zamku Montcroix jest dotąd nie rozwiązana. Pozostaje nadal fascynującym zagadnieniem i nieprzeniknioną zagadką...

ŻELAZNA DŁOŃ PRZERZUCA ZŁOTE MONETY

W pobliżu rzeki Rodan wznosi się romańskie zamczysko Arginy. Wiąże się z nim wiele starych legend.

Już w samej nazwie Arginy etymologowie doszukują się pierwotnego brzmienia „Argine" — anagram słowa „Regina" (królowa). Według dawnych wierzeń, królową i panią skarbów była dama trefl. Inni uczeni odnajdują w nazwie zamku słowo „arguros" — srebro. Słusznie czy niesłusznie — zamek Arginy uchodzi wśród okolicznej ludności za skarbnicę majątku Templariuszy. A fortuna ich składała się z niezmierzonej ilości złota, srebra, drogocennych kamieni. Fama głosi, że w zamku są jakoby ukryte także rzadkie dokumenty.

Przed 30 laty obecny właściciel Arginy pan R. kazał przeprowadzić staranne poszukiwania za domniemanym skarbem, chociaż żadne dane historyczne nie przemawiają za tym, aby właśnie tutaj miał się znajdować skarb Templariuszy.

Mistrz nauk okultystycznych, Armand Barbault, nowoczesny alchemik, rozpoczął poszukiwania w noc świętojańską, specjalnie nadającą się dla wszelkich magicznych poczynań. Rozpoczął je od „Wieży Alchemi" zamku Arginy, przezwanej tak, gdyż posiada osiem otworów, symbolizujących „krzyż ośmiu szczęśliwości".

Duchy, strzegące skarbu, zamanifestowały swoją obecność poprzez głos pogrążonego w hipnotycznym śnie medium: „Widzę wielką szkatułę, która zbliża się do mnie... Ręka przyodziana w żelazo sięga w głąb szkatuły, wyjmuje złote monety... Teraz jest ich duży stos. Ręka nadal sięga do szkatuły... Inne ręce, pełne pożądania wyciągają się do skarbu... Ręce szponowate, owłosione, straszne... Żelazna ręka zbiera monety i wkłada je z powrotem do szkatuły... Skarbu strzeże rycerz spoczywający w trumnie. Mówi, ale pozostaje nieruchomy w swojej krypcie. Chciałby z niej wyjść. Ale do tego konieczna jest wielka ceremonia, z siedmioma rytualnymi zaklęciami..."

Jak widać, sprawy okultystyczne posunęły się dość daleko, jednakże tajemnica skarbu nie została nadal ujawniona. Kasety pełne brylantów, srebra, złota i kosztowności nie ujrzały dotąd światła dziennego.

Czyżby „znaki-klucze", których nie brak w Arginy, nie znalazły jeszcze właściwej interpretacji? I na ten temat krąży legenda: Templariusze złożyli jakoby w Arginy skarb, który ma kiedyś w przyszłości finansować jakieś wielkie dzieło polityczne. Skarb ten, strzeżony przez siły zza świata, będzie więc odnaleziony tylko przez jakiegoś współczesnego Templariusza...

Pod murami antycznej fortecy w Die znajdują się urny pełne złota. Jak dotychczas odkopano dzban z monetami i statuetkę.

W NASTĘPNYM NUMERZE DALSZY CIĄG HISTORII O UKRYTYCH SKARBACH P.T. „URNY PEŁNE ZŁOTYCH MONET" „SKARB OPACTWA CHARROUX" „NAGIE TANCERKI Z LAPONGADE"

KRZYSZTOF A. MAZUR

DEBICH i jego orkiestra

Skromnie startowała Orkiestra Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, zwana przez słuchaczy „Orkiestrą Debicha". Zorganizowana w 1949 roku pod nazwą „Chór i Orkiestra Świetlicowa" Łódzkiej Rozgłośni, licząca zaledwie kilkanaście osób, była jednym z licznych zespołów o popularyzującym, upowszechnieniowym obliczu. W ciągu pięciolecia istnienia dała blisko dwa tysiące koncertów radiowych i masowych. Przyszły pierwsze sukcesy w postaci udziału w Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie czy występu wraz z baletem Harnama we Frankfurcie nad Odrą.

W połowie lat pięćdziesiątych muzyka „świetlicowa", powielana przez dziesiątki zespołów, spowszechniała wszystkim tak dalece, że przyszedł ostry kryzys dla odbioru tego gatunku produkcji. Coś jednak musiało wyróżniać Łódzką Orkiestrę Radiową, że uchroniła się od smutnego losu innych orkiestr, upadających w warunkach kryzysu repertuaru i zainteresowania.

To „coś" jest całkiem konkretne i da się sprowadzić do dwóch zasadniczych cech, których wytworzenie jest niewątpliwie zasługą dyrygenta orkiestry, Henryka Debicha.

Cecha pierwsza: mocne ustawienie zespołu w środowisku, realny udział w życiu kulturalnym Łodzi. Miliony radiosłuchaczy w Polsce doskonale wiedzą, że zapowiadany około szesnastu razy w miesiącu na fali ogólnopolskiej (nie licząc programów lokalnych) koncert Orkiestry pod dyrekcją Debicha jest tradycyjną łódzką pozycją radiową. Jeszcze bardziej bliski i swojski jest zespół dla wielu mieszkańców Łodzi i okolic. Świadczy o tym jedenaście koncertów publicznych, zorganizowanych w ciągu ubiegłych trzech lat przez Filharmonię Łódzką dla Orkiestry Radiowej a cieszących się ogromnym powodzeniem wśród publiczności i radiosłuchaczy.

Jeszcze ważniejsza jest cecha druga: własne oblicze artystyczne, indywidualny styl i repertuar Łódzkiej Orkiestry Radiowej. W odróżnieniu od wielu zespołów, powtarzających w nieskończoność ograne wzory muzyki popularno-masowej, Henryk Debich potrafił przed kilku laty narzucić i utrzymać odmienną linię repertuarową, nawiązując do orkiestr zachodnioeuropejskich Mantovaniego, Melachrino czy Kostelanetza. Oczywiście przyjęcie nowych wzorów było tylko etapem wstępnym, wkrótce wytworzył się z tego jakiś własny styl orkiestry. Styl ten polega — mówiąc pokrótce — na wykorzystywaniu szerokiego zakresu najrozmaitszych utworów, różnych gatunków, starych i nowych, w specyficznej arranżacji, czyli opracowaniu. Arranżacja taka opiera się przede wszystkim na szerokim wykorzystaniu instrumentów smyczkowych orkiestry.

Utwory w repertuarze Łódzkiej Orkiestry Radiowej, z reguły w specjalnej arranżacji, dzielą się na kilka grup. Pierwsza z nich to stare utwory w nowej szacie, jak „Kołysanka" Godarda, „Serenada" Schuberta, „Barkarola" Czajkowskiego czy „Melodia" Rubinsteina.

Szczególną podgrupę stanowią wybitne pozycje literatury wirtuozowskiej na skrzypce lub inne instrumenty, opracowywane na całą orkiestrę, np. „Pszczółka" Schuberta, „Lot trzmiela" Mikołaja Rimski-Korsakowa, „Capriccioso" Riesa, „Etiudy" Kreutzera, „Perpetuum mobile" Riesa. Liczna jest grupa utworów nowoczesnych, jak „Orchidee w świetle księżyca" Youmansa, „Etiuda jazzowa" Krzemieńskiego, „Parafraza na temat własny" Czernego. Zespół sięga również do popularnych arii operowych i operetkowych, wykonywanych przy udziale wybitnych solistów, jak Kawecka, Debichowa, Rudnicka, Hiolski i inni. Ta wszechstronność repertuaru (przy zachowywaniu specyficznego stylu) jest jedną z najważniejszych przyczyn popularności orkiestry.

Natomiast jedną z podstawowych przeszkód w pracy zespołu stanowi fakt, że w ciągu kilku lat orkiestra nie wytworzyła grona współpracujących piosenkarzy. Mało tego, nie ma obecnie właściwie ani jednego związanego z Łódzką Orkiestrą Radiową reprezentanta tak ulubionego gatunku — piosenki. Powoduje to komplikacje i załamania w linii repertuarowej. Z nowoczesną, starannie wypracowaną arranżacją powinna łączyć się równie nowoczesna i tak dziś rozwinięta gdzie indziej współpraca solisty — interpretatora tekstu i melodii. Wiele oryginalnych pozycji repertuaru Orkiestry Debicha zyskałoby na popularności przez wzbogacenie o tekst i głos solowy.

Na aktywności i ruchliwości dzisiejszej opierają się perspektywy przyszłego rozwoju Łódzkiej Orkiestry Radiowej. Oto najważniejsze postulaty na najbliższą przyszłość:

Rozszerzenie składu orkiestry, liczącej obecnie czterdzieści osób, a zwłaszcza

Dokończenie na str. 10

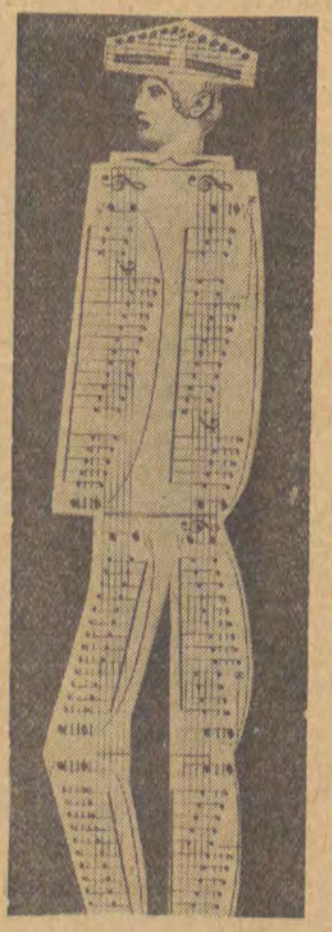

Rys. K. Baraniecki

MARIAN PIECHAL

Od Garwolina do Europy

Problem upowszechniania kultury stoi, że tak powiem, na tapecie nie od dziś. Powstał on razem z narodzinami współczesnej demokracji i socjalizmu. Pierwsze głosy za powszechną oświatą ludu rozległy się podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Żądanie bowiem bezpłatnej oświaty dla ludu było równoznaczne z uprzystępnieniem mu czyli upowszechnieniem niedostępnych dotychczas dla niego tzw. skarbów kultury.

Prof. Jan St. Bystroń w swojej książce o Paryżu opowiada, jak to zaraz w pierwszych dniach Wielkiej Rewolucji oddano do użytku publicznego magnackie zamki, gmachy, pałace, ogrody. „W Hôtel d'Orsay zainstalowano bal czyli dancing, jakbyśmy dziś powiedzieli, potem pałac przeznaczono na wystawę przemysłową, w Hôtel de Villeroy mieściły się warsztaty telegraficzne, w Hôtel de Brissac sprzedawano książki, w Hôtel de Luynes citoyen Baudin urządził płatną ochronkę dla dzieci do lat 7; w jesieni 1789 r. uchwalono przejąć na własność narodu dobra kościelne. Można więc śmiało powiedzieć, że znaczna część terenów i budynków paryskich zmienia właściciela, przechodząc z rąk prywatnych czy duchownych na własność narodu, pod zarząd władz rewolucyjnych. Były to przestrzenie bardzo wielkie: pałace i ogrody arystokratów zajmowały całe dzielnice, a również i poszczególne klasztory miały duże posiadłości, czy to w samym mieście, czy na peryferiach; wszystko to stało się własnością narodu".

W tych, rzeklibyśmy dziś, znacjonalizowanych pałacach i ogrodach powstały szkoły, muzea, teatry amatorskie, miejsca zebrań publicznych, coś w rodzaju dzisiejszych świetlic i domów kultury. „Nadzwyczajna popularnością — pisze dalej Bystroń — cieszy się teatr; zabawa wielkich panów i zamożnej burżuazji staje się nagle dostępna wszystkim.

Teatrów jest pełno, a za rewolucji rodzą się teatry jak grzyby po deszczu, wszystkie grywają przy pełnej widowni".

Ale zwycięska burżuazja, przerażona wzrastającymi żądaniami ludu, tłumi wkrótce ekspansję ku oświacie, ku teatrowi, ku książce. Książka i oświata to skuteczne narzędzie w jej rękach, ale bardzo niebezpieczna broń w rękach ludu. Już w niewiele lat po rewolucji zaczyna się ostrożne, lecz stale wzmagające się odbieranie ludowi niedawnych z taką krwawą ofiarą osiągniętych zdobyczy rewolucyjnych. Tak było we Francji. A w Polsce?

Maria Dąbrowska w swojej książce wydanej przed wojną pt. „Rozdroże" pisze na ten temat: „Czas nauki starano się skrócić, rozciągając święta i wakacje do ostatecznych granic. Żądano jak najniższego kształcenia nauczycieli wiejskich i zatwierdzania na te stanowiska „żywiołów naiwnych", bo „jeżeliby miała wejść do szkolnictwa wiejskiego inteligencja, to biada porządkowi społecznemu". Tu właśnie leży pies pogrzebany! Oświata wzmaga rewolucyjność mas! Kiedy to było? Ano tuż po roku 1880, a więc blisko w sto lat po Wielkiej Rewolucji Francuskiej i naszej Konstytucji 3 Maja. Niejaki hr. Stadnicki przemawiał w Sejmie galicyjskim w ten deseń: „Wolimy zakładać skromne ochronki pod kierownictwem sióstr służebniczek, niż mieć u siebie szkoły ludowe pospolite, **obawiając się trucizny**, którą one w dzieciach wiejskich zaszczepiają"... A prawie w sto lat po powstaniu owej Komisji Edukacji Narodowej, która orzekała, że „szkoła jest jedyną drogą społecznego awansu plebejuszy", słynny historyk stańczykowski, prof. Michał Bobrzyński pisał: „Szkoła ludowa nie powinna odwracać umysłów od stosunków, śród których młodzież wzrasta, ani budzić żądzy wybicia się z nich". No, teraz już rozumiemy, co jest tą trucizną, o której mówił hr. Stadnicki. To, oczywiście, socjalizm.

Nic tedy dziwnego, że inny magnat polski, Paweł Popiel, grzmiał zgorszony z powodu uchwalenia przez Sejm galicyjski przymusu szkolnego: „Dzieje się gwałt prawom rodzicielskim. Przymus szkolny to potworność. Ustawa, która zmusza człowieka do kształcenia się, **prowadzi do socjalizmu**. Szkoła powinna być wyznaniowa i ograniczona w nauce. **Nauki przyrodnicze i literatura** podkopują spokój ludności, wydzierają łaskę Boga i żywot wieczny".

Ot, do czego doszło. Na szczęście zwyciężył socjalizm, a nie hrabiowie Stadniccy, Bobrzyńscy i Popielowie, przeciwnicy „nauk przyrodniczych i literatury". Dziś te „nauki przyrodnicze i literatura" są przedmiotem jak najszerszego upowszechniania wśród mas ku obopólnemu pożytkowi zarówno mas, jak nauk przyrodniczych i literatury.

Bo upowszechnienie, to przecież znaczy budzenie i zaspokajanie potrzeb kulturalnych wśród szerokich mas, znaczy przysporzenie dziedzinom twórczości i wysiłku intelektualnego odbiorców i miłośników, jednym słowem czytelników. Oczywiście, że państwo ma prawo dokonywać wyboru wśród przedmiotów kulturalnych tego upowszechnienia. I tu problem. Czy to upowszechnienie zacząć od obrazów Matejki czy Picassa, od powieści Sienkiewicza i Prusa czy Kafki, od teatru Fredry czy Becketta, wierszy Staffa i Gałczyńskiego czy Peipera i Białoszewskiego, muzyki Moniuszki i Szopena czy Eimerta albo Schaeffera (kompozytorzy muzyki elektronowej i konkretnej)?

Chodzi nam przecież przede wszystkim o rozbudzenie powszechnego apetytu i wyrobienie dobrego smaku. A tego dokonać można w pierwszym rzędzie na klasykach. Apetyt raz w masach rozbudzony nie poprzestanie na pewno na podawanych mu dawkach i sięgnie w następstwie po dalsze okazy literatury i sztuki, oczywiście jeżeli będą odpowiadały gustowi mas. O gustach wprawdzie trudno dyskutować, ale gusta można budzić, kształcić, pogłębiać i poszerzać. I od tego jest właśnie akcja upowszechniania. Ale tu już sama klasyka jako materiał nie wystarczy. Gust bowiem kształci się nie na oderwanych od życia bieżącego przykładach arcydzieł, ale także na żywych dziełach o teraźniejszości, na dziełach aktualnych, lecz dostępnych umysłowi, wyobraźni i potrzebom szerokich rzesz czytelniczych. Być europejskim czy światowym w kulturze, to właśnie posiadać w zasobie swojej kultury takie dzieła, które docierają nie tylko do Paryża, ale i do Sieradza, nie tylko są czytane w Warszawie, ale i w Bełchatowie.

Czy współcześni twórcy kultury mogą sprostać tym zadaniom? Moim zdaniem mogą i powinni. Wszak Sienkiewicz i Reymont, to autorzy znani i czytani w Europie, ale także i przede wszystkim w Łęczycy i Garwolinie. I to jest ich chwała i zasługa. Okazuje się, że można połączyć ze sobą doskonale tendencje otwierania przez swe dzieła „drzwi do Europy" czy „okna na świat" z tendencją służenia aktualnym zapotrzebowaniom szerokich rzesz czytelniczych. Trudno zaś powiedzieć, żeby rolę tę mogły spełnić kiedykolwiek dzieła naśladowców Białoszewskiego. Co innego jest trudność formy artystycznej, a co innego jest absolutne nieliczenie się z jakimkolwiek smakiem, gustem i zapotrzebowaniem czytelnika dobrej woli. Czytelnik taki zrażony i urażony lekceważeniem jego potrzeb, zwraca się od produkcji trudnej i niedostępnej do szmiry łatwej, ideowo zaś i treściwo nijakiej, a nawet szkodliwej, bo wstecznej. Czy współczesny, postępowy pisarz i artysta może być wobec tego stanu rzeczy obojętny? Byłoby to zdradą jego podstawowej racji bytu i sensu.

Wkrótce:

Ogłoszenie wyników KONKURSU

„Wszystko o mieszkaniach"

LEOPOLD BECK

Nic nowego w Teatrze Nowym

Federico Garcia Lorca

Rzetelne rzemiosło sceniczne nie jest aż tak nagminnym zjawiskiem, żeby mu skąpić uznania, nawet gdy zawodzi. W „Domu Bernardy Alba" działa, od ekspozycji do finału owe, że tak powiem oblatane rzemiosło, które tylko złośliwiec nazwać może poprawnością (reżyseria i scenografia Jerzy Ukleja).

Niesamowity to dom. Właśnie pogrzebaliśmy męża Bernardy, matki pięciu córek, dziewic od dwudziestki do czterdziestki. Pięć przypadków szalonej tęsknoty do męskiego łoża. Bernarda tłumi tę tęsknotę terrorem matriarchalnym. Bogactwo ziemi, do którego jest już przyzwyczajona, napawa tę chłopkę dumą ziemianki — takiej, jak ze szkoły klasztornej poniżej typu Sacre Coeur. Rządzi tedy Bernarda (Wanda Jakubińska) więdnącymi córami, gospodynią i głodną służącą niby przeorysza mniszkami. W sumie wynika uosobienie najbardziej ponurego systemu prześladowania miłości (zjawiska, które opisał jeden z wielkich mędrców naszych czasów). Inaczej, czyli prawdę mówiąc: chodzi tylko o megalomankę, jadowitą i skąpą babę, córkę obłąkanej staruszki, 80-letnia dwojga imion starucha, Maria Józefa, w atakach obłędu potwierdza tezę (wspomnianego już mędrca) o nieprzerwanym działaniu libido sexualis, nieprzerwanym od kołyski do łoża śmierci. Taka to familia i taki to wiejski dom, gdzie niebawem, jak zapowiada Poncia (Janina Jabłonowska), dziać się będą wielkie rzeczy.

Katastrofy rodzinne następują, jak wiadomo, dopiero w trzecim akcie: Adela, najmłodsza w kwintecie córek, kochanka narzeczonego najstarszej, wiesza się, niewidocznie dla widza, ale za to prawie na oczach całej rodziny.

Szkice kostiumów: Jerzy Ukleja

Czyja wina? Bernardy! — orędowniczki moralności i obyczajowości, które pochodzą z czasów, powiedzmy, wielkich triumfów Świętego Officium, a mimo to jeszcze ciążą na prowincji hiszpańskiej — i nie tylko hiszpańskiej — XX wieku. Zdaje się, że właśnie to „chciał powiedzieć" Federico Garcia Lorca.

Gdy mowa o tym bezsprzecznie znakomitym autorze, wytwarza się zazwyczaj nastrój Apelu Poległych, kiedy to można, a nawet wypada nie zauważyć rozmaitych spraw. Na przykład, że zwariowana staruszka nie spełnia w „Domu Bernardy Alba" żadnej istotnej dramaturgicznej funkcji, czyli, że bez niej „Dom Bernardy" byłby jota w jotę tą samą sztuką. Usunięcie tej naturalistycznej ozdoby lub mocny retusz świadczyłby raczej o przywiązaniu do autora. Reżyser (a za nim, jak za panią matkę, scenograf), przeciwnie, wszystko zrobił, by Marię Józefę postawić na pierwszy plan. Oleodrukowo. Pomogła przy tym, chcąc nie chcąc, Zofia Petri. Oleodrukowa wariatka udaje się jej — ho-ho! — że człowieka aż ciarki przechodzą; staruszka natomiast — nie, co jest oczywiście komplementem.

W nastroju Apelu Poległych można i wypada nie zauważyć, że jedna z córek, Magdalena lub Amelia, nie ma specjalnej racji bytu scenicznego i stanowi balast — prawie taki sam, jak matka-wariatka, czyli, że bez Magdaleny — lub bez Amelii „Dom Bernardy" byłby jota w jotę tą samą sztuką (do której walorów należy, że można w niej zatrudnić wielką ilość kobiet bez jednego mężczyzny). Mimo wszystko: zarówno Maria Białobrzeska jak i Maria Górecka mówią i milczą, jako Magdalena i Amelia, z wnikliwym wyczuciem stylu, o który chodzi. Wreszcie można nie zauważyć, iż postać służącej jest (i była już .. dziesiąt lat temu) schematem nad schematy; tylko talent Eugenii Herman czyni ją jeszcze znośną.

Ale „Dom Bernardy" ma przecież swoją wielką sprawę, o której mówiliśmy już, swoje prawdziwe charaktery a tym samym otwiera możliwości demonstracji kunsztu aktorskiego.

O krok od wielkiej kreacji, ale o bardzo wielki krok, jest Wanda Jakubińska. (Bernarda). Gdyby nie przewlekłość oracji, zbyt powolne tempo słów, Bernarda stałaby się życiową rolą tej aktorki. Zdaje się również, że przewlekłość wymowy Bernardy zaciążyła na tempie całego dialogu, a tym samym na sile przedstawienia. Niekiedy owa przewlekłość czyni wrażenie gubienia kontaktu z partnerkami. Podkreślam: niekiedy i przyznaję, że ktoś inny może być zdania, iż właśnie takie ustawienie dialogów podkreśla funkcję Bernardy jako absolutnej władczyni domu — niby, że mówi władczo. Zaprzeczam, bo jestem zdania, iż ta powolność nie jest zamierzona, lecz naturalna i w obu przypadkach nie na miejscu.

Danuta Mniewska znalazła w postaci Adeli swoją najlepszą dotychczas rolę. Gra ona z temperamentem, swobodą i — w zgodzie ze swoimi zewnętrznymi warunkami — jest powabną młodą dziewczyną. Wiesława Mazurkiewicz natomiast — w zupełnej niezgodzie, ponieważ jest jako Martirio brzydka i garbata. Aktorka odnosi zwycięstwo nad własną młodością i urodą, stając się szpetną panną, najbardziej wiarygodną ofiarą Bernardy. Bohdana Majda dźwiga swoją ciężką dolę niekochanej narzeczonej z łatwością i potrafi, jak wymaga rola, jadowicie milczeć.

Krystyna Feldman, a w epizodach — Barbara Rachwalska i Wanda Chwiałkowska, wyczuwają umiejętnie styl „Domu Bernardy", który (po „Domu kobiet") jest drugą z kolei sztuką, wystawioną przez Teatr Nowy również po to, by aktorkom dać możliwość popisu.

Nigdzie, jak świat długi i szeroki, nikt nigdy nie zaprzeczy, że motyw ten jest ze wszech miar zacny.

Nowy Sącz (Patrz artykuł na str. 2, 3)

paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego
pod redakcją HENRYKA ANDERSA

Jak już wspominaliśmy, każda epoka, a nawet pokolenie posiada własne, odrębne ideały artystyczne. Jednakże, porównując rzeźbę średniowieczną z dziełami sztuki greckiej — archaicznej i klasycznej — stwierdziliśmy zjawisko szczególne. Pomimo zupełnie odmiennych warunków bytowych i stosunków społecznych, w każdej z tych epok, w kolejnych, analogicznych stadiach rozwoju sztuki wystąpiły podobne zainteresowania, objawiły się pewne podobne elementy świadomości artystycznej.

Ostatecznie nic w tym dziwnego, kultura Grecji i średniowiecza, to kultura tego samego kręgu europejskiego, kultura w pewnym momencie przerwana i odżywająca na nowo, skoro pojawiły się sprzyjające okoliczności. Okazuje się jednak, że w całkowicie innych środowiskach możemy spotkać analogiczne dążenia.

Oto na zagubionym w przestworach Oceanu Spokojnego malutkim odprysku lądu, na Wyspie Wielkanocnej (czytaliście może „Kon-Tiki" lub „Aku-Aku") tajemniczy, nie znany nam lud wytworzył oryginalną a już zamarłą kulturę, od naszego kręgu śródziemnomorskiego na pewno niezależną. Podróżnicy, którzy dotarli do tej wysepki, położonej na uboczu od wszelkich szlaków morskich, znaleźli dziesiątki ogromnych kamiennych posągów sterczących z ziemi, posągów dziwnych, budzących zachwyt i ekscytujących fantazją. Powstało mnóstwo hipotez, ale naprawdę nic jeszcze nie wiemy.

Fotografie owych posągów można dość często znaleźć po czasopismach, w tej chwili jednak chodzi mi o rzadziej reprodukowaną rzeźbę z drzewa, którą również tam znaleziono.

Proszę porównać niewielką, półmetrową figurkę drewnianą, przedstawiającą — jak objaśnili tubylcy „duszę zmarłego" ze średniowiecznym nagrobkiem biskupa z katedry w Augsburgu. Co znaczy to podobieństwo?

Czy dowodziłoby to, że sztuka jest jednorodna? Wstrzymajmy się z wnioskami.

Pomnik biskupa Wolharta Roth, Augsburg.

ZENON DĘBSKI

Foto WOJCIECH LESZCZYC

TU SIĘ CZEKA

Gdyby jakiś reporter lekkomyślnie, bez uprzedniego przygotowania, wstąpił w progi jednej z najgłośniejszych naszych uczelni artystycznych, byłby z pewnością zaszokowany, przynajmniej w pierwszej chwili, atmosferą beztroski i lenistwa, sączącą się z każdego niemal kątka.

Pierwsze wrażenie nie okazuje się najlepsze. Ale czy jest to wrażenie prawdziwe? Spróbujmy sobie wyobrazić, że wstąpiliśmy właśnie w podwoje tej szacownej uczelni.

Od razu na wstępie opanowuje przybysza nieodparte wrażenie, że tu się czeka. Czeka się całymi godzinami, dniami i tygodniami, a są tacy, którzy się już przyzwyczaili i czekają od paru lat. Na co? Tego już pewnie sami dokładnie nie wiedzą. Może na POMYSŁ, może tylko na kolegę, który kiedyś obiecał, że przyniesie scenariusz i jakoś nie przynosi. A może po prostu na profesora, u którego trzeba zdać egzamin? Najczęściej jednak czeka się na obiad i na projekcję. Te dwie atrakcje zdolne są nawet do wyciągnięcia młodych twórców ze Schodów.

Tak oto dotarliśmy do najciekawszej instytucji szkolnej, obdarzonej bogatymi tradycjami i nie mniej bogatymi perspektywami na przyszłość. Schody. Na nich siadywali Wajda i Munk, dziś króluje na nich Polański, jutro...? Położone są w niezwykle korzystnym punkcie, na skrzyżowaniu najważniejszych szlaków. Można z nich obserwować wejście do sekretariatu i w ten sposób przyłapać listonosza; widać też z nich drzwi do Dziekanatu, co ważne jest dla kogoś kto poszukuje któregoś z profesorów; można też tutaj przyłapać każdego, kto chce się cichaczem przemknąć ze zleceniem na wyświetlanie filmu do sali projekcyjnej; jednym zdaniem nie traci się nic z najbardziej interesujących momentów życia szkolnego.

Obiektywnie jednak przyznać trzeba, że schody nie odgrywałyby tej roli, gdyby nie mały zaciszny bar. Położony u stóp schodów pozwala na pokrzepienie nadwątlonych sił, daje też temat do wielu interesujących dyskusji.

Dzięki tym dwóm zasadniczym zaletom schody stały się jadalnią i klubem, czytelnią i stadionem. Spotkać tu można całą elitę szkolną — od studentów pierwszego roku, przez profesorów skromnie w kąciku popijających kawę, aż do młodych sław naszej kinematografii uprawiających przed południem hula-hop, a po południu walki zapaśnicze w stylu wolnoamerykańskim. Poza tym z innych dyscyplin sportowych dużym powodzeniem cieszą się tu skoki i biegi z przeszkodami. Uprawia się je w przerwach między projekcjami, a metę stanowi okienko baru. Nagrodę każdy zamawia według własnego uznania.

Tutaj, na schodach, dyskutuje się nad sprawami najbardziej pasjonującymi — nad projektami filmów. To nic, że są to na razie ćwiczenia — od tych ćwiczeń zależy często dalszy los delikwenta. Nic też dziwnego, że rozważa się każde słowo scenariusza, że się skrupulatnie oblicza metraż przyszłego filmu, szuka się aktorów, którym można powierzyć realizację własnych myśli i uczuć. Potem, kiedy się już wędruje z ekipą w plener, albo na Marysin, do atelier szkolnego, za późno jest na medytacje. Tam już trzeba działać szybko i bezbłędnie. Dopiero tutaj, przy realizacji okazuje się jak przeszkadzają drobne na pozór braki w bagażu wiedzy, nie tylko ściśle fachowej, ale i ogólnej. Toteż wbrew pozorom tak pracowicie przeze mnie na wstępie zmontowanym, studenci szkoły pracują bardzo dużo. Spędzają długie godziny w bibliotekach i muzeach, przy magnetofonie i przy sztalugach. Tylko z wykładami podobno jest gorzej, gdyż trzeba na nie przychodzić punktualnie i wcześnie, a czego jak czego, ale wczesnego wstawania nie lubią nie tylko dziennikarze i aktorzy. Wstają jednak i przychodzą, dosyć nawet punktualnie, bo przecież oprócz obowiązkowych wykładów muszą jeszcze spotkać się na schodach z kolegą, który napisał ciekawy scenariusz, muszą przyłapać reżysera i ómówić z nim koncepcję oświetlenia, ułożyć się z profesorem co do egzaminu, popracować w ciemni, obejrzeć film...

Pozory często mylą — szczególnie w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej im. L. Schillera.

Rezyser w akcji: W tym wypadku instruowanie odbywa się trochę na migi, bez rezysera, Wasyl Mirtchew jest jednym z licznych w szkole Bułgarów.

MATEUSZ DZIEWISZ

KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO

Pomysł wydania antologii humoru polskiego zrodził się, jak sam przyznaje Kazimierz Bartoszewicz w przedmowie do pierwszego wydania „Ksiąg humoru polskiego", nie tyle z bezinteresownej potrzeby, ile z prozaicznej, handlowej kalkulacji wydawcy. „Przed kilkunastu laty — pisze w przedmowie K. Bartoszewicz — w zamian za pożyczony przeze mnie skromny kapitalik właścicielowi jednej z krakowskich księgarń, otrzymałem od niego kilka szaf książek i zadłużoną firmę. Zaczynając jednak w bardzo trudnych warunkach materialnych, musiałem zastosować do nich mój program wydawniczy i sposób jego wykonania. W licznym dość szeregu moich wydawnictw były i „Perły humoru polskiego".

Dzieło musiało chwycić, skoro w kilka lat potem, już nie jako wydawca, ale poszukujący wydawcy, Bartoszewicz kołacze do różnych firm wydawniczych z rozwiniętą i potraktowaną w sposób chronologiczny koncepcją antologii humoru polskiego. Wreszcie pojawia się I tom „Ksiąg humoru polskiego" w Petersburgu w 1897 roku nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, w krótkich zaś odstępach czasu ukazują się tomy następne. Całość objęła wybór tekstów od wieku XVI do połowy wieku XIX.

W roku 1958 Wydawnictwo Łódzkie podjęło się reedycji dzieła Bartoszewicza. Czy reedycji? I tak, i nie. Niezależnie od zastrzeżeń, jakie w słowie od redakcji poczynili łódzcy wydawcy nowych „Ksiąg humoru polskiego" (tom I „Od Reja do Niemcewicza") w zasadzie jest to powtórzenie schematu dziewiętnastowiecznej antologii pod tym samym tytułem, opracowanej przez cytowanego już Bartoszewicza.

Nasi redaktorzy — Jan Huszcza, Stanisław Czernik i Juliusz Saloni — bynajmniej tego nie tają, dodając jednocześnie, że wobec istnienia innych, mniejszych objętościowo wyborów i antologii tekstów humoru polskiego, wobec istnienia „Czterech wieków fraszki polskiej" w opracowaniu Juliana Tuwima itd, itp., z konieczności trzeba było to i owo przecież powtórzyć.

„Księgi humoru polskiego" to zbiór humorystycznych tekstów literackich począwszy od Mikołaja Reja aż do J. U. Niemcewicza, z dodaniem do tego jeszcze części trzeciej, w której pomieszczono próby humoru ludowego. Znajdzie tu czytelnik humorystyczne teksty literackie pisarzy okresu renesansu, wieku XVII i wieku XVIII i pierwszych dziesiątków lat wieku XIX. Często są to rzeczy znane, ale warte przypomnienia, częściej mało lub wcale dla wielu czytelników niedostępne i dlatego tym bardziej godne polecenia. Oczywiście teksty są tak dobrane, żeby czytelnik mógł odetchnąć atmosferą staropolskiego humoru. Choć podejrzewam, że może tu spotkać niejednego z czytelników zawód. Nie należy jednak być małostkowym. Różnica bowiem między humorem, komizmem i dowcipem jest rzeczywiście często trudno uchwytna. Nie wymagajmy od książki, która nie jest naukową atologią, ale „pożyteczną zabawą" dokładnych rozróżnień i naukowych dystynkcji.

Recenzent, który jest osobliwym gatunkiem czytelnika, ma jednak prawo domagać się realizacji przyjętych przez wydawców założeń. Skoro zaś autorzy zastrzegają, że „nie uwzględniliśmy natomiast komediopisarstwa, wymagającego odrębnych metod selekcji, i innego typu wydawnictw", to dlaczego robią wyjątki dla fragmentów komedii Zabłockiego „Zabobonnik", Bogusławskiego „Cudu mniemanego, czyli Krakowiaków i Górali", Niemcewicza „Powrotu posła"?

„Księgi humoru polskiego" nie są antologią naukową. Zgoda. Nie należy zatem przykładać do wydawnictwa popularnego maksymalistycznych kryteriów. Autorzy antologii podkreślają przecież: „chodziło nam o książkę ciekawą dla szerokiego grona czytelników". Tak, ale to nie jest jeszcze dostateczny powód do tego, żeby czytelnika dezinformować. Wydanie popularne, już choćby dlatego, że ma większe szanse dotarcia do czytelnika, musi posiadać wyjątkowo staranne, rzeczowe przypisy oraz objaśnienia historyczne i językowe.

Przypis — powtarzam, nie może dezinformować. A tak, niestety, jest z wieloma przypisami i objaśnieniami w antologii. Nie mówię już o krótkich notkach biograficznych, które z reguły są „majstersztykami", klasycznymi wprost przykładami, jak nie powinno się właśnie biograficznych notek pisać. Przykłady? Proszę bardzo. Wydawcy piszą o Mikołaju Reju. Cytuję wyjątek: „Wydał w 1543 roku w Krakowie pierwszy polski utwór satyryczny: „Krótka rozmowa między trzema osobami, panem, wójtem i plebanem" (str. 437). A przecież każdy nawet szkolny podręcznik podaje, że nieco już wcześniej w literaturze polskiej mieliśmy utwory satyryczne.

Albo Jan Kochanowski. To także wyjątek z notki: „Tytuły głównych dzieł Kochanowskiego są powszechnie znane". Dalej, w tej samej notce: „Fraszki jako rodzaj poetycki stały się odrębnością poezji polskiej, ich popularność trwa bez przerwy do czasów współczesnych" (str. 438).

Teraz Józef Jędrzej Załuski: „W 1767 r. został przez Repnina porwany i wywieziony w głąb Rosji. Po 50-letniej niewoli wrócił do kraju, gdzie niedługo potem zmarł w 1774 r." (str. 453).

Kajetan Węgierski: „Poza tym tłumaczył z języka francuskiego, pisał satyry i wiersze ucinkowe (!?) (str. 466).

Przykłady można mnożyć. To samo z objaśnieniami językowymi. Na przykład: „kinąć —rzucać, smyrgać" — str. 440), to objaśnienie do którego potrzebne jest jeszcze jedno dodatkowe objaśnienie. I jeszcze jeden przykład: „Gofrej — wyraz zniekształcony, tu bohater" (str. 458). Tak piszą redaktorzy, choć wiadomo, że Gofrej to tylko zniekształcona forma imienia Goffreda ze znanego poematu Torquata Tassa, przełożonego na język polski w 1618 roku przez Piotra Kochanowskiego, „Myszeis" — to dla autorów „Ksiąg" poemat heroiczny (str. 460). „Sejm szatański" — to satyra XVIII wieku; a przecież wystarczyłoby uważne odczytanie satyry Naruszewicza „Chudy literat", żeby stwierdzić, że mamy tu do czynienia z utworem XVII-wiecznym. Jest to przecież rzecz Jana Dzwonowskiego „Sejm diabelski" z roku 1662. Tegoż Dzwonowskiego, którego przecież także w antologii autorzy pomieścili. Naprawdę, szkoda, że tak piękny zamysł, dzięki któremu Wydawnictwo Łódzkie obdarzone zostanie niewątpliwie wdzięcznością i łaskami czytelników — został zrealizowany, przynajmniej pod względem edytorskim — tak niedbale.

Są jednak rzeczy, które w omawianej antologii bardzo się recenzentowi podobały. To stylowe ilustracje i przerywniki według druków polskich z wieków minionych. Choćby tylko dla nich warto „Księgi Humoru Polskiego" kupić. Zawsze to pożyteczniej pokazywać znajomym stylowe ilustracje w pięknie wydanej książce, niżeli własne fotografie na łonie rodziny.

DOM KSIĄŻKI

Tłum. HELENA NOWICKA

Rakieta międzyplanetarna „Tantra" wyruszyła z Ziemi na planetę Zirdę, aby zbadać, dlaczego łączność z tą planetą została zerwana. Okazało się, że na skutek zabójczego promieniowania życie na Zirdzie zamarło. Gwiazdolot znalazł się w tragicznej sytuacji. Na Zirdzie „Tantra" miała odnowić swe zapasy paliwa, co teraz stało się niemożliwe. Wreszcie astronauci zdecydowali się lecieć ku Ziemi, mimo braku paliwa. I nagle na drodze swej napotkali Żelazną Gwiazdę, która poczęła ich przyciągać ze straszliwą siłą. Brak paliwa anamezonowego uniemożliwiał wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy. Astronauci postanowili lądować na jednej z planet Żelaznej Gwiazdy. Podczas przelotu nad planetą zauważyli leżący na jej powierzchni jakiś dziwny przedmiot, przypominający ziemski statek międzyplanetarny.

— Fantazja — uciął Pur Hiss.

— A może jednak rzeczywistość — zaprotestował Erg Noor.

— Spór na nic się nie zda — nie poddawał się Put. — Nie ma bowiem możliwości sprawdzenia co tam właściwie leży. Nie będziemy przecież lądować...

— Sprawdzimy po trzech godzinach, kiedy znów przelecimy na tamtą równinę. Zastanawiający jest fakt, że ów metalowy przedmiot znajduje się na miejscu, które ja również wybrałbym dla ewentualnego lądowania... Właśnie tam zrzucimy stację telewizyjną.

Plan, który obmyślił kierownik, udało się zrealizować i „Tantra" okrążyła ciemną planetę. Przy zbliżeniu do interesującej ich równiny statek otrzymał komunikat telerobota. Ludzie wpili się oczami w sekran. Włączyło się „oko", którego snop promieni oświetlił kontury przedmiotów, znajdujących się daleko w dole, w wielokilometrowej ciemnej przepaści. Ekran wyławiał oświetlone przez automat tereny. Kolejno przewijały się urwiska, wzgórza, czarne zygzaki wypłuczysk. Obrazy te były natychmiast fotografowane. Nagle na ekranie ukazał się na chwilę błyszczący kształt podobnego do ryby przedmiotu, a po chwili znów zamigała pustynna powierzchnia planety.

— Gwiazdolot! — krzyknęli niemal wszyscy.

Niza spojrzała na Hissa z nieukrywanym triumfem. Ekran zgasł. „Tantra" oddalała się od nadajnika, ale biolog Eon Tal szykował już taśmę z elektronowymi zdjęciami. Drżącymi z niecierpliwości palcami założył ją na projektor. Na ekranie ukazało się powiększone odbicie.

Znane, przypominające cygaro kontury części nosowej. Rozdęta część rufowa. Wysoki grzebień przyrządu równowagi... Obraz ten dowodził, że jest to jednak ziemski statek! Stał on w pozycji horyzontalnej, w pozycji normalnego lądowania, podparty mocnymi stojakami, nieuszkodzony, jak gdyby dopiero przed chwilą siadł na planecie.

„Tantra" krążyła nad planetą posyłając sygnały, ale odpowiedzi nie było. Minęło kilka godzin. W kabinie sterowniczej znów zebrał się cały czternastoosobowy zespół. Wtedy Erg Noor, siedzący dotąd zamyślony, nagle wstał.

— Proponuję posadzić „Tantrę". Być może, że nasi bracia potrzebują pomocy. Może mają uszkodzony statek i nie mogą wrócić na Ziemię? Wtedy przyjmiemy ich, uzupełnimy zapasy anamezonu i sami również się uratujemy. Nie ma sensu wysłać rakietę ratowniczą, gdyż nic nam ona nie pomoże w sprawie zdobycia paliwa, a energii pochłonie tyle, że nie będziemy mogli nadać sygnału dla Ziemi.

— A jeśli oni wylądowali tutaj również z powodu braku anamezonu? — ostrożnie zapytał Pel Lin.

— To na pewno pozostały im planetarne naboje jonowe — nie mogli przecież wykorzystać wszystkiego. Sami widzicie, że gwiazdolot wylądował prawidłowo, co świadczy o tym, że pracowały silniki planetarne. Weźmiemy od nich paliwo jonowe. Wystartujemy. Zajmiemy stanowisko orbitalne i będziemy czekać na pomoc Ziemi. Jak nam się uda, to potrwa to nie dłużej niż osiem lat. Jeśli zaś uda się zdobyć anamezon — wówczas zwyciężyliśmy.

— Istnieje jednak duże ryzyko lądowania na ciężką planetę oraz przebywania na niej — warknął Pur Hiss. — Strach pomyśleć o tym świecie ciemności!

— Ryzyko jest rzeczywiście duże.

Erg Noor spojrzał na tarczę regulatora szybkości i podszedł do pulpitu. Chwilę stał nad dźwigniami i włącznikami sterowniczymi. Palce jego dużych rąk biegały po nich jak po klawiszach fortepianu. Zgarbił się, twarz mu skamieniała.

Niza Krit podeszła do kierownika, śmiało wzięła jego prawą rękę i przyłożyła do swego płonącego policzka. Erg z wdzięcznością skinął głową i pogładził dziewczynę po puszystych włosach. Wyprostował się.

— Obniżamy lot i lądujemy! — powiedział głośno i włączył sygnał.

Rozległ się głośny ryk. Ludzie zajęli w pośpiechu swoje miejsca.

Erg Noor spoczął w miękkich objęciach specjalnego fotela, który wyciągnął zza pulpitu. Zagrzmiały silniki planetarne i gwiazdolot z potwornym wyciem skierował się w dół, na spotkanie z morzami i lądami nieznanej planety.

Reflektory i radary obmacywały mroczny teren. Czerwone światełko płonęło na skali wysokości przy cyfrze wskazującej piętnaście tysięcy metrów. Na planecie nie należało się spodziewać gór o wielkości przekraczającej dziesięć tysięcy metrów. Woda i promienie czarnego słońca przyczyniły się bowiem do wyrównania powierzchni podobnie jak miało to miejsce na Ziemi. Pierwszy przelot stwierdził istnienie na większej części planety niewysokich wzniesień, trochę wyższych niż na Marsie. Zapewne działalność wewnętrznych sił już wygasła.

Erg Noor przesunął regulator wysokości na dwa tysiące metrów i zapalił potężne reflektory.

Pod gwiazdolotem rozpościerał się ogromny ocean. Przerażająco czarne fale wznosiły się i opadały nad niezbadaną głębią.

Biolog, ocierając spoconą od wysiłku twarz, usiłował złapać przyrządem odbicie światła od fal, chcąc zbadać stopień słoności oraz jakość mineralizacji tego morza mroku.

Błyszczącą czerń morza zastąpiła matowa ciemność lądu. Krzyżujące się promienie reflektorów tworzyły wąską dróżkę między ścianami mgły. Pojawiały się na niej nieoczekiwane barwne plamy: żółte — piasku lub szarozielone — skalistych łańcuchów gór i pagórków.

„Tantra" posłuszna doświadczonej dłoni leciała nad lądem.

Erg Noor znalazł wreszcie poszukiwaną równinę.

Przedni radar na lewej burcie nagle zaświstał. Statek skierował snop promieni w dół. Leżący tam gwiazdolot był już wyraźnie widoczny. Pancerz z krystalicznego stopu irydu pokrywający jego część nosową — lśnił w świetle reflektora. Naokoło statku nie było żadnych zabudowań, nie widać było śladu życia. Gwiazdolot stał ciemny i głuchy, nie reagujący na zbliżanie się statku. Promienie reflektorów pomknęły dalej. Nagle zalśniły odbijając się od błękitnego zwierciadła. Był to gigantyczny dysk otoczony spiralnymi wypukłościami. Stał on na swej krawędzi, częściowo zanurzony w czarny grunt. Przez chwilę obserwatorom mignęły sterczące za dyskiem jakieś skały, a dalej gestniała czarna mgła. Była tam widocznie przepaść lub wąwóz.

Ogłuszający ryk wstrząsnął korpusem „Tantry". Erg Noor chciał bowiem lądować niedaleko gwiazdolotu i w ten sposób uprzedzał ludzi, którzy mogli znajdować się w niebezpiecznej strefie. Rozległ się grzmot planetarnych silników. Na ekranach pojawiła się chmura rozpalonych cząsteczek gleby. Podłoga poczęła nagle podnosić się do góry i przewracać się do tyłu. Automaty bardzo płynnie ustawiły fotele w odpowiedniej pozycji.

Ogromne, kolankowe podpórki odskoczyły od przedniej części statku przyjmując pierwsze zetknięcia się z planetą, z nowym obcym światem. Wstrząs, uderzenie, zgrzyt wstrząs i „Tantra" wylądowała. Motory zamarły! Erg Noor uniósł rękę do pulpitu, który znajdował się teraz nad głową i wyłączył opory. Powoli, krótkimi wstrząsami osiadał gwiazdolot, aż zajął poziomą pozycję. Lądowanie skończyło się. Było ono tak wielkim przeżyciem dla organizmu ludzkiego, że astronauci musieli przez pewien czas odpocząć w swych fotelach, zanim wrócili do psychicznej równowagi.

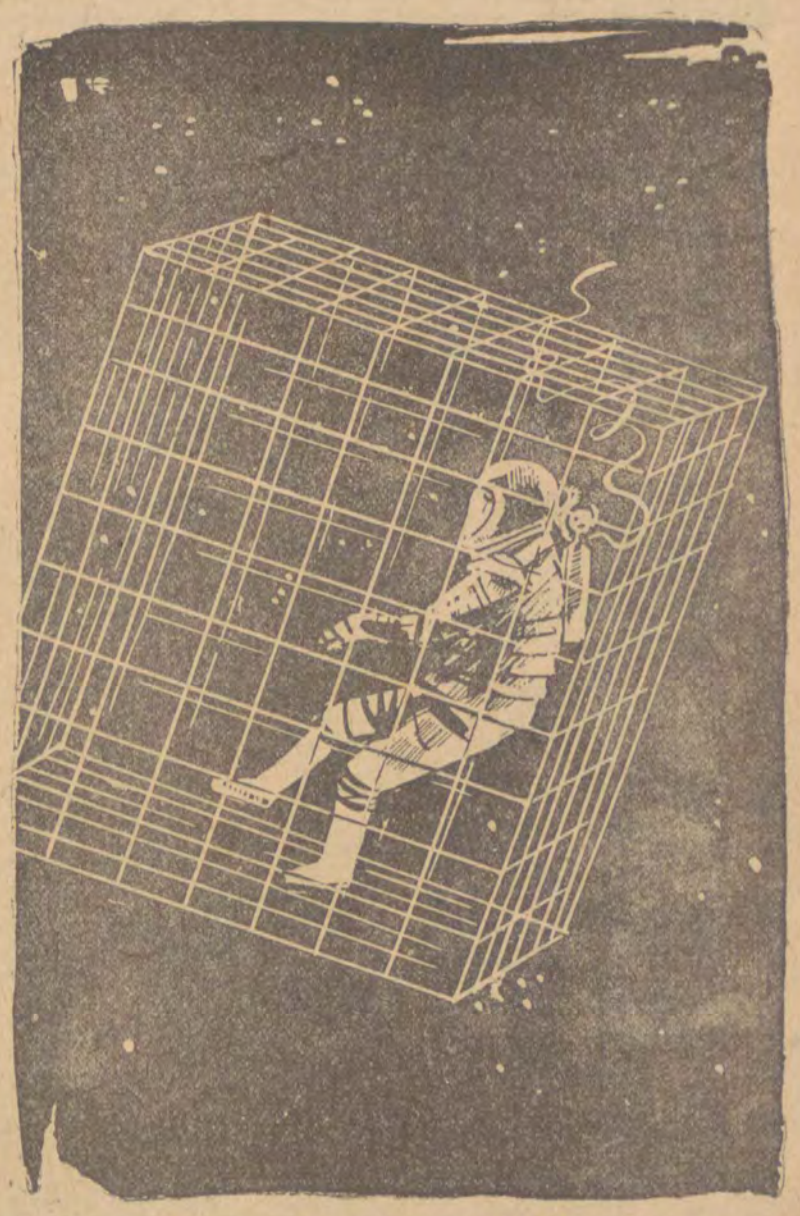

Straszliwy ciężar przygniótł wszystkich. Ludzie ledwo powłóczyli nogami, jakby byli po ciężkiej chorobie. Jednakże niestrudzony biolog zdążył już wziąć próbę powietrza.

— Nadaje się do oddychania — zawiadomił. — Zaraz dokonam analizy mikroskopijnej.

— Nie trzeba — odezwał się Erg, chowając swój fotel do lądowania. — Bez skafandrów nie wolno opuszczać statku. Mogą tu być bardzo niebezpieczne wirusy i bakterie.

Przy wyjściu, w śluzowej kabinie znajdowały się już wcześniej przygotowane skafandry biologiczne oraz „skaczące szkielety" — konstrukcja ze stali i skóry, wyposażona w silnik elektryczny, sprężyny i amortyzatory, co umożliwiało poruszanie się nawet przy zwiększonej sile ciężkości. Wkładało się je na skafandry. Każdy chciał już poczuć pod nogami stały grunt, nawet obcy...

Kej Ber, Pur Hiss, Ingrid, lekarz Luma oraz dwaj inżynierowie mechanicy mieli pozostać na statku, aby dyżurować przy radiostacji, reflektorach i przyrządach.

Niza stała z boku trzymając w ręku hełm.

— Dlaczego się pani waha? Skąd to niezdecydowanie? — zagadnął dziewczynę Noor, sprawdzając radiostację w swoim hełmie. — Chodźmy do gwiazdolotu!

— Ja... — Niza zająknęła się. — Mnie... Wydaje mi się, że on jest martwy. Że stoi tu już dawno... Jeszcze jedna katastrofa, jeszcze jedna ofiara bezlitosnego kosmosu. Rozumiem, że to jest nieuniknione. Ale to zawsze bardzo bolesne... Szczególnie po Zirdzie, po „Algrabie"...

— Możliwe, że śmierć tego gwiazdolotu przywróci nam życie — odezwał się Pur Hiss, skierowując lunetę w stronę statku, który nadal stał nieoświetlony.

Ośmiu podróżników przedostało się do przejściowej kabiny. Stanęli w oczekiwaniu.

— Wpuścić powietrze! — rozkazał Erg Noor.

Ciśnienie w kabinie osiągnęło dziesięć atmosfer i było większe niż na zewnątrz. Hydrauliczne automaty otworzyły hermetyczne drzwi. Ciśnienie powietrza wypchnęło ludzi z kabiny, jednocześnie chroniąc małą wysepkę Ziemi przed wtargnięciem obcego świata. Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie. Promień reflektora wyznaczył jasną drogę. Utykając posuwali się po niej podróżnicy. Na końcu drogi wznosił się ogromny statek. Półtora kilometra, które dzieliły ich od celu, wydały się nieskończenie długie.

Poprzez grubą, bardzo wilgotną atmosfrę, mętnym, rozpływającym się blaskiem świeciły gwiazdy. W otaczającej ich ciemności statek wyglądał szczególnie plastycznie.

Eon Tal nagle wydał okrzyk. Rozległ się on we wszystkich telefonach. Tal wskazywał ręką na otwarte drzwi, które czerniły się ciemną plamą. Od wyjścia spuszczone były małe schodki. Naokoło statku i schodków sterczały niewątpliwie jakieś rośliny. Ich grube łodygi unosiły się na metrową wysokość. Jakieś liście czy kwiaty o dziwacznych kształtach przypominających koła zębate. Skupisko tych złowrogich, czarnych roślin robiło niesamowite wrażenie. Jeszcze więcej obaw budziły otwarte drzwi. Nienaruszone rośliny wskazywały, że ludzie już od dawna nie korzystali z tej drogi, że nie strzegą już swego świata przed cudzym, obcym życiem.

d. c. n.

- Co się stało z załogą wymarłego gwiazdolotu?
- Jaką tajemnicę kryje zagadkowy przedmiot podobny do wielkiego dysku?

— *czytajcie w następnym odcinku*

Dokończenie ze str. 6

wzmocnienie podstawowej grupy instrumentów smyczkowych i powiększenie zbyt szczupłej obecnie grupy instrumentów dętych blaszanych.

Bliższe i częstsze kontakty bezpośrednie ze słuchaczami w postaci podróży artystycznej po Polsce i w miarę możności za granicę.

Zorganizowanie projektowanego od dawna konkursu na piosenkarzy oraz na nowe kompozycje, tworzone specjalnie dla tej orkiestry.

Żywsza wymiana wybitniejszych nagrań archiwalnych oraz wysyłanie takich nagrań za granicę (już dzisiaj powstała możliwość wymiany taśm dźwiękowych z Niemiecką Republiką Federalną).

* * *

Jest dobrze i wszystko wskazuje, że będzie jeszcze lepiej. Dlatego warto zachęcić cały zespół orkiestrowy i jego dyrygenta Henryka Debicha — który dotychczas dał tyle dowodów pomysłowości repertuarowej, wyczucia żądań odbiorcy, oraz aktywności w środowisku — do jeszcze śmielszych, jeszcze samodzielniejszych poczynań na przyszłość.

DEBICH i jego orkiestra

Tekst:
KRZYSZTOF A. MAZUR

Foto:
WACŁAW BILIŃSKI

ADAM OCHOCKI

O dach nad dachem

Motoryzacja rozwija się w Łodzi dość szybko. „Motozbyt" sprowadza i sprzedaje coraz więcej samochodów — krajowych i zagranicznych. Wycofywane z instytucji tzw. nietypowe wozy wędrują drogą przetargu do rąk prywatnych. Z miesiąca na miesiąc wzmaga się ruch kołowy, jezdnie łódzkie stają się coraz to „ciaśniejsze".

Ile samochodów osobowych mamy w Łodzi? Zastępca kierownika Wydziału Komunikacji Drogowej Prezydium RN m. Łodzi p. Zaniewski podaje aktualną liczbę: 3.800, w tym 800 wozów państwowych i spółdzielczych, czyli tzw. służbowych, i 900 taksówek. A więc prywatnych samochodów osobowych — poza taksówkami — 2.100.

A ile jest w naszym mieście garaży? Ostatni spis Głównego Urzędu Statystycznego wykazuje 802 zarejestrowane garaże, co w przemnożeniu na tzw. boksy daje około 2.000 pojedynczych pomieszczeń garażowych dla wszystkich samochodów. Przyjmijmy optymistycznie, że wozy ciężarowe w ogóle nie korzystają z garaży. Nawiasem mówiąc, lwia ich część stoi pod gołym niebem. Charakterystyczny przykład: dwa koczowiska ciężarówek na rogu Narutowicza i Uniwersyteckiej oraz naprzeciwko, po nieparzystej stronie Narutowicza. Przyjmijmy dalej — że i właściciele taksówek nie korzystają z pomieszczeń garażowych, wówczas i tak okaże się, że około 900 wozów osobowych w Łodzi jest bez garaży.

Ponieważ ja sam reprezentuję tzw. własność prywatną, czyli posiadaczy prywatnych samochodów, co nie jest przecież karalne, pragnę wystąpić w obronie swojego pojazdu.

Niewątpliwie w najlepszej sytuacji znajdują się samochody osobowe państwowe i spółdzielcze, w dalszym ciągu zwane służbowymi. Te bowiem przebywają przeważnie w garażach, a w każdym razie mają jakie takie zabezpieczenie, jeżeli już nie przed wpływami atmosferycznymi, to przed amatorami cudzej własności (w dalszym ciągu zwanymi złodziejami). Właścicielom taksówek, rzecz prosta, garaże są mniej potrzebne niż innym użytkownikom prywatnym. Jakby nie było taksówka to wóz eksploatacyjny, będący często przez całą dobę w ruchu. W najgorszym tedy położeniu są „zwykli" posiadacze prywatnych wozów: licząc jak najskromniej, co drugi właściciel samochodu w Łodzi nie ma gdzie garażować swego wozu.

Jak więc radzą sobie łodzianie posiadający auta? Ano różnie. Niektórym uśmiechnęło się szczęście w postaci zdezelowanej szopy, inni trzymają swe wozy w bramach — zawsze to jakiś dach nad... samochodową głową, a pozostali, nie mogąc skorzystać nawet i z takich „udogodnień", po prostu garażują pod gołym niebem, na szczerym podwórku, przeżywając permanentnie obawę o swe wcale nietanie wozy. Obawiają się mrozu, deszczu i śniegu, obawiają się baraszkujących dzieci, a także innych posiadaczy samochodów, którzy doraźnie, na miejscu, uzupełniają luki w zaopatrzeniu naszego handlu motoryzacyjnego w w części zamienne...

Informacje Wydziału Komunikacji nie nastrajają optymistycznie. Może Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych pocieszy za moim pośrednictwem posiadaczy samochodów? Miasto się rozbudowuje, powstają nowe bloki, osiedla. Chyba DBOR myśli także i o garażach.

Inż. Skrzypkowski potwierdza moje przypuszczenia: owszem DBOR myśli również i o garażach.

— Jak to wygląda liczbowo?

— W zeszłym roku DBOR wybudowała na terenie nowych osiedli garaże, składające się z 12 boksów. W roku bieżącym przewidziana jest budowa czterech garaży: przy ul. Wierzbowej postawimy 10 boksów, na Bałutach 14 boksów, na Kozinach 16 boksów, razem około 40 boksów.

— To kropla w morzu potrzeb...

— Mamy normy: 15 boksów na każdy 1000 mieszkańców w nowym osiedlu. Tę normę w tym roku osiągniemy. Istnieje projekt, żeby w przyszłości stawiać po 50 boksów na każdy 1000 mieszkańców. Ale to tylko plany...

DBOR buduje garaże tylko w nowych osiedlach. DBOR nie rozwiąże i nie może rozwiązać tego zagadnienia w skali ogólnomiejskiej. Więc kto i co może poprawić niewątpliwie trudną sytuację? Przecież samochód, w miarę rozwoju naszego życia, powoli przestaje być luksusem, a dla niektórych ludzi już dziś jest nieodzowny w pracy.

Możliwości poprawy niewątpliwie istnieją. Przede wszystkim należy zrobić wreszcie porządek z już istniejącymi garażami. Statystyka GUS-u jest niepełna, nie uwzględnia pewnej ilości pomieszczeń garażowych, często nawet doskonale wyposażonych, ale służących zupełnie innym celom. Kto ma ochotę, niech się przejdzie na ulicę Fabryczną pod piąty. Zobaczy tam ciekawy widok: na posesji znajdują się, a jakże, dwa boksy, a obok, na tym samym podwórzu, stoi okrągły rok i niszczeje na dworze samochód osobowy. A ludzie, jak ludzie, wynoszą z owych boksów ziemniaki i węgiel...

Takich obrazków znajdziecie w Łodzi więcej. Niedawno znajomy mój, biegając po mieście w poszukiwaniu garażu, zabrnął do domu na rogu Jaracza i Kilińskiego. Na podwórzu znalazł aż sześć boksów. Dozorca poinformował, że dwa nie są zajęte, ale komitet domowy trzyma w nich śmietnice, żeby „likatorom nie śmierdziało do okien".

To prawda, że komórki na opał i ziemniaki są bardzo potrzebne, ale przecież dowcip nie na tym polega, żeby doskonale wyposażone garaże, zbudowane dużym nakładem kosztów, miały zastępować komórki. Czy nie praktyczniej byłoby postawić znacznie tańsze komórki, a pomieszczenia garażowe wykorzystać zgodnie z ich przeznaczeniem? Co garażowe oddajmy garażom.

Jest uchwała Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi z 1954 r., mówiąca o zabezpieczeniu obiektów związanych z motoryzacją. Rzecz jasna chodzi tu o warsztaty, stacje benzynowe, a także garaże. I tą właśnie sprawą należy się zająć natychmiast. Zapraszam tu do miłej współpracy Miejskie Zarządy Budynków Mieszkalnych i nasz Wydział Komunikacji Drogowej.

Są jeszcze inne możliwości, natury o wiele ogólniejszej. Ale może najpierw ciekawy przykład dosłownie z własnego podwórka, z ulicy Źródłowej blok 49, gdzie dwaj zaradni lokatorzy postawili sobie niedrogi, praktyczny garaż. Całkowity koszt budowy garażu, w którym z łatwością mieszczą się dwa auta (rozmiary pomieszczenia: 4,94 m × 4,46 m), wynosi 5.600 zł, a więc po 2.800 zł na osobę. A oto dokładny kosztorys:

16 płyt prefabrykowanych á zł 65 — zł 1.040, słupy ogrodzeniowe, prefabrykaty — zł 1.572, cement i papa — zł 290, 2 pary drzwi — zł 900, drzewo na dach — zł 360, gwoździe — zł 23, zamki — zł 288, transport — zł 250, opłaty manipulacyjne — zł 156, robocizna — zł 800. Razem — zł 5. 679.

Wszystkie materiały użyte do budowy tego garażu są osiągalne na rynku, a cała inwestycja trwała raptem półtora dnia i to zimą, w trudnych warunkach.

Tak, to prawda, że jeden z właścicieli garażu jest inżynierem więc plany nic nie kosztowały, ale czy to tak trudno udostępnić chętnym taki plan standardowego garażu?

O tym, żeby miasto wybudowało wystarczającą ilość garaży, przy tylu innych niewątpliwie pilniejszych inwestycjach, nie można nawet marzyć. Pozostaje więc jedyny skuteczny i ogólny środek — zdrowa inicjatywa prywatna: niech posiadacze samochodów postawią sobie sami takie niedrogie garażyki. Tej inicjatywie trzeba wyjść na spotkanie. Tutaj pięknie się kłaniamy odnośnym czynnikom, prosząc w imieniu tysiąca właścicieli bezgarażowych samochodów: traktujcie podania w tych sprawach od serca, nie zasłaniajcie się względami natury wyższej. Bo samochód doprawdy z każdym dniem staje się coraz bardziej potrzebny i osiągalny.

⊙

P. S. Jeżeli ten artykulik ktoś chciałby potraktować jako tzw. formę interwencyjną we własnej sprawie, zawczasu uprzejmie pragnę ostrzec, że jestem szczęśliwym posiadaczem jednego z 802 zarejestrowanych garaży w Łodzi.

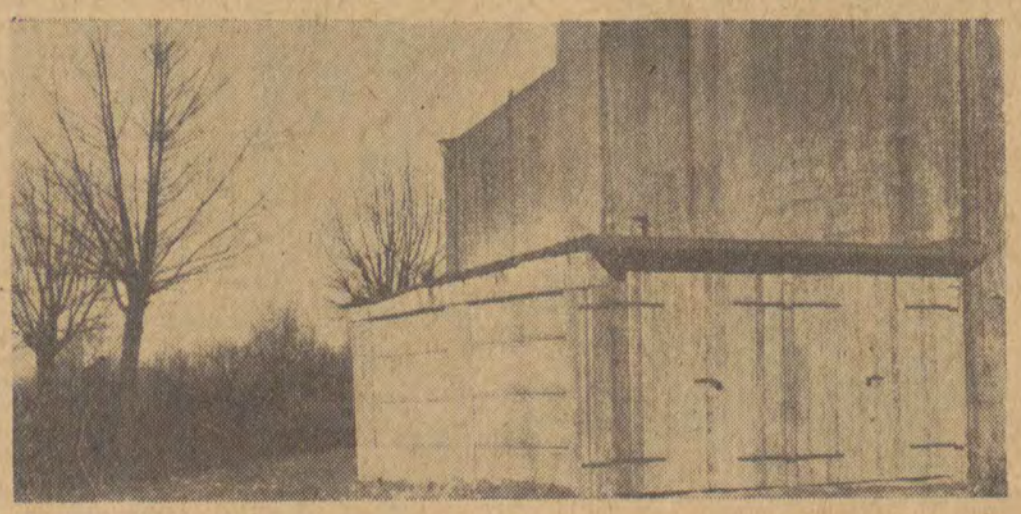

Ul. Źródłowa, blok 49. Ten podwójny garażyk kosztuje 5.679 zł.

Z szopki polityczno-literackiej 1958

LOPEK

(mel. „Jak się nie ma...")

Jak się nie ma, co się lubi,
To się lubi, co się ma!
Z te zasade teatr klade.
I nie jeden, ale dwa.

Wiem, to nie jest za mecyje,
Nie jest to co ja bym pragł,
Może jeszcze co do ilość,
Absolutnie co do smak.

(mel. „Lament Ulissesa")

Bo przecież dla mnie w tych teatrach miejsca nie ma,
Zniknął ten humor i ten specyficzny żart,
Ba — nad piosenką wisi nawet anatema...
A bez piosenek swoich cóż jest Lopek wart?

Lecz myślę sobie: „Dawny Lopek się nie przyda?
To będzie Lopek-Odyss! Co tu robić wrzask?"
Ułańska w domu gdzieś (po dziadku) była dzida,
A od strażaków pożyczyłem stary kask.

Tarcza z teatru. No i Greka się udaje
(Chociaż słyszałem, że ten Odyss też był... Cyt!
Że wszystkich zawsze wykołował, bo miał spryt).

Ja — sprytu nie mam. Ja powiadam: „Trudno, Kropka.
Szmonces nie w modzie teraz — więc Odyssa gram.
Wśród pań, jak widzę, jest niejedna Panalopka.
Więc dawno zaszedł już p r e t e n d e n s względem dam!

Nie zaglądajmy do cudzego serca kulis,
(Państwo wybaczą mi ten teatralny styl)
Dość, że powrócił na ojczyste łono Uliss,
Chociaż w tym celu musiał przebyć setki mil.

Co — pan się dziwi? Jak przystało na rodaka...
Pan mówi, że to Eldorado nie jest? — Wiem!
Jednak i taka może czasem być Itaka,
Uboga krewna innych obiecanych ziem.

Długo się człowiek po ogromnym świecie tułał,
Zanim zmęczony do rodzinnych wrócił stron —
Bo primo: taki narodowy jest rytuał,
Dwa: dla Odyssa to był też synekwanon.

Po drodze Odyss nieraz wymknął się złej Scylli,
Kilkakroć także i Charybdzie srogiej zwiał...
Dopiero — psiakrew! — na Syrenę go skusili,
Więc biada dziś, że się tak głupio kiwnąć dał.

Tamtego z baśni oczekiwał syn Telemach,
Mnie witał Hipek — pamiętacie: Lopka syn.
Rzekł z miejsca: „Zaraz uświadomię cię w problemach,
Lecz wpierw się pozbądź swoich gestów i tych min.

Ty zmień ten akcent — to się u nas dzisiaj zwalczia.
Melonik radzę ci też raz na zawsze zdjąć.
Zapomnij sobie, że istniała jakaś Malczia
I z tym pytaniem na pytanie wiecznym skończ.

Stare piosenki, zwłaszcza te szmoncesowate,
Się nie nadają. Z nimi dziś byś na psy zszedł.
Zmień repertuar: śpiewaj „Toskie" lub „Trawiate",
„Swobodny wiatr" albo „Zaczarowany flet"!

Co znaczy „Toskie"? Może i „Santa Luczyja"?
Ja będę śpiewał?! Bo akurat ty tak chcesz?

Kto, do cholery, tu: Kiepura wrócił, czy ja?!!!
I — wymówiłem. Już Kiepura wraca też.

A niech wracają. To nie budzi mej zawiści,
— Doprawdy, zawiść to jest bardzo przykra rzecz,
Wszyscy gardzimy nią (szczególnie my — artyści),
Ale Kiepura, jak z nas każdy, ma swe l e c z.

HŁASKO (mel. „Nie masz nad żołnierza")

Kiedy wyjeżdżałem
Do Paryża z kraju,
Nikt nie myślał jeszcze:
„Następny do raju".

Rad mi nie szczędzono
Ni życzliwych nagan —
„Trzymajsię — niedajsię,
Odwiedź Franię Sagan!"

„Pamiętaj w Paryżu
Być uprzejmym dla dam
I miłym dla panów..."
Francuskim nie władam,

Lecz wpaść w ton rozmowy
Jest tu rzeczą główną:
Francuz „merde" ci powie,
Ty mu na to „m e r c i".

I już mięknie, gnie się,
„Pardon" — mówi — „excuse!"
SKIZ? — drżę myśląc o nim,
Bodaj się drań wściekł, skisł!

Wypisywać o mnie
Takie brednie zgoła:
„Talent to za mało".
Siedźmy. Nikt nie woła.

Za miasto, na wzgórek
Wybiegajcie co dnia.
Wróci Marek, wróci...
W ósmy dzień tygodnia.

„Kontrabanda" - szopka 1957

(fragment)

KRUCZKOWSKI: (śpiewa na mel. „Wołga, Wołga...")

Każdy mi dziś wypomina,
Gdym nagrodę przejadł już,
Żem ją dostał od ... parady —
Mówią: nowe dzieła twórz!

Przycichł dziś Neverly Igor,
I Putrament działa mniej.
Ja straciłem całkiem wigor,
Za to innym pisać lżej...

Znów grzmi Jalu Synekurek,
Awangardy broniąc chlub,

Znowu tworzy dzisiaj Burek,
Wilczek milczy zaś jak grób.

Choć się nasza paczka strzegła,
Płomień zdrowej sztuki zgasł —
„Dżuma" w ślad za nami biegła,
Camus nam w paradę wlazł —

(śpiewa na mel. „Nie tak in illo"...)

Nie tak in illo tempore bywało,
Gdym był prezesem, wszystko u mnie grrrało,
Nikt nie śmiał skarcić mnie ostrzejszym tonem,
Nie darmo mówią: ex unque leonem.

Choć szydzą ze mnie różne niedouki,
Do łez wzruszały widzów moje sztuki.
A już najwięcej zasłynąłem z tego,
Żem w „Grzechu" wspomógł Stefka Żeromskiego.

Gdym z IV aktem dużo miał trudności,
Nocą Żeromski przyszedł do mnie w gości,
Bez słowa patrzał, jak zmieniam, jak kreślę,
Klnę, w palce prztykam, wiercę się na krześle.

„Przyszedłem — szepnął cicho, bez uśmiechu
Słysząc, żeś wziął się do przeróbki „Grzechu".
Otóż i widzę, jak miotasz się w mękach,
Spokojnie, chłopcze. Pomyśl o wydźwiękach...

Z końcowej sceny jestem kontent prawie,
Jednak warunek pewien ci postawię —
Zmień tytuł sztuki... „Tym uciął rozmowę,
Miast „Grzechu", raczej — „Prace syzyfowe"...

Redaguje Zespół. © Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" © Adres redakcji: Łódź. Piotrkowska 98. Tel. 244-78. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.- zł, kwartalnie 12.- zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. © Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" - Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO - Łódź 1 - 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk - ZG „Prasa" - Łódź. Żwirki 17. Z 1109 IV 59 S-3

Fraszki

IMPREZA

Publiczność cała z miejsc powstała
I skandowała głośno: „Chała!".

Na wykonawcach cierpła skóra,
Wciąż powtarzali: „To chałtura...".

Krytycy, choć zachałtowani,
Orzekli zgodnie, że do bani.

Jedynie w dyrektorskiej loży
Świetnie bawili się chałtorzy.

DO MINISTRA

Pan Minister nie weźmie zbyt serio tych wierszy
(Choćby Mu wskazywały jak ma wybrnąć z matni) —
Jeśli „Ostatni etap" to był film jej pierwszy,
Może „Król Maciuś Pierwszy" będzie już ostatni...

RY-SZARD MA-REK

W związku z organizowaną przez „Odgłosy" akcją prezentowania łódzkich satyryków redakcja zwraca się do Pana o łaskawe odpowiedzi na następujące pytania:

1) Czy bawi Pana Pańska twórczość satyryczna?

Nie. Majstersztyki też się przejadają.

2) Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?

Nutrie. I nie wynika to z serwilizmu.

3) Czy gra Pan w „Kukułeczkę"? A jeśli nie, to w co?

Nie. W nic. Powód prosty: dyskryminacja ze strony gier liczbowych od czasu szopkowej piosenki (na melodię „Kukułeczki").

4) W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomoga w pracy?

W fatalnych. — Z każdym dniem, jak łatwo zauważyć, coraz mniej spotyka się rzeczy godnych wykpienia. Pocieszające jest więc tylko nasze opóźnienie w niektórych dziedzinach.

5) Co sądzi Pan o swoich kolegach-satyrykach?

W ich twórczości tkwi pewien paradoks:
Czy Jan Sztaudynger, czy Jan Czarny,
W ogóle ktokolwiek z tej ferajny,
Każdy, choć e k s t r a o r d y n a r n y,
Bynajmniej nie jest n a d z w y c z a j n y.

6) Czy „Odgłosy" Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

Ilekroć usiłują bawić — podnoszą na duchu, ilekroć usiłują podnosić na duchu — bawią.

T. ŻAKOWIECKI

Moralność pani Dulskiej

Pani Dulska weszła na ekrany. Doczekała się staruszka, że wprowadzili ją Czesi w osobie Zdenki Baldovej. Przez zręczne wykorzystanie wszystkich momentów umożliwiających wyjście z kamerą ze sceny — na swój sposób udała im się adaptacja sztuki Zapolskiej.

Powstał nawet ładny, poprawny film. Bez większych ambicji, bez prób świeższej interpretacji; wszystko jest takie same jak w tekście literackim, wszystko dzieje się w starym Krakowie z konnymi karetkami, z modą na lumpowanie i kankana. Uważano tylko za stosowne wydobyć nieco pewne sceny, z których ma jaśniej wynikać, że Dulska zaangażowała Hankę dla Zbyszka. Hm...

Adaptacja się udała, jednak nie na całej linii. Nie chodzi już o to, że film jest zrobiony mdło, bez życia. Spokojna atmosfera miałaby nawet rację bytu, jako tło, ale pod warunkiem ożywienia postaci głównej, nadania jej rysów drapieżności.

Niewątpliwie Zdenka Baldova jest cenną aktorką. Czy jednak jest ona Dulską, której nazwisko stało się symbolem pewnego typowego zjawiska? Najwyraźniej brak jej żyłki awanturniczej, zaborczości.

Dulska pojawiła się na scenie z hukiem, z posmakiem skandalu. Dziwi się więc każdy Polak, który zna dobrze prawdziwe Dulskie, jest nawet rozbawiony — widząc na ekranie Dulską, kobiecinkę cichą o sylwetce matrony. Coś tu nie gra, prawda?

Tego zdjęcia (autorstwo: Zofia Nasierowska) — podpisywać nie trzeba. Trzeba natomiast podać sprostowanie. Oto w ubiegłym numerze „Odgłosów", w wywiadzie z profesorem Wiktorem Budzyńskim przekręciliśmy (pospołu z korektą) nazwiska dwóch aktorów. P. Bogusza Bilewskiego i p. Jerzego Jogałły.

Odgłosy

Miszanka filmowa

ANDRZEJ DOŁĘGA

Krzyż walecznych

Premiera nowego filmu produkcji polskiej, obrazu pt. „Krzyż walecznych" — reżyserii Kazimierza Kutza, poprzedzona była famą, jakoby był to debiut nad debiutami. Dużo mawiano o subtelności poczynań twórczych i znakomitej obsadzie aktorskiej filmu, o muzyce i opracowaniu plastycznym. Toteż Wasz sprawozdawca przygotował się — może zbyt pochopnie — do uczty. I spotkała go niespodzianka, bądźmy szczerzy — nie należąca w pełnym stopniu do najprzyjemniejszych.

„Krzyż walecznych" — to film z zamiarem. Słowem — film z dużymi ambicjami. Ma ów „Krzyż" coś z „Paisy" Rosseliniego, może nie tyle w samym skutku ekranowym co w zamierzeniu autorów, ale przede wszystkim — przez swoje podobieństwo formalne. Jest bowiem „Krzyż" składanką trzech nowel, wracających tematyką do czasu wojny (pierwsze dwie nowele: „Krzyż walecznych" i „Pies"); względnie w ostatniej noweli — do spraw osadnictwa wojskowego na Ziemiach Odzyskanych. O ile jednak pierwsze dwie nowele są ubogie pod względem literackim, pozbawione point'u co tu dużo mówić — banalne, tak nowela trzecia („Wdowa po Joczysie") dostarczyła reżyserowi sporo ciekawego materiału, mogącego stać się kanwą kapitalnego filmu. Ale niestety, materiał ten potraktowany został w realizacji wprawdzie ze szkolną starannością — ale bez ciekawszych inwencji. Aktorzy, skądinąd nieprzeciętni (np. Cybulski, pamiętny Maciek z „Popiołu i diamentu") tutaj się czują nieswojo, a pretensjonalna muzyka i równie pretensjonalne plansze graficzne Zamecznika — kolidują z tradycyjnymi rozwiązaniami filmu.

Oczywiście nie można stawiać „Krzyża walecznych" na jednej płaszczyźnie z seryjną produkcją naszych branżystów. Rzekło się już, że jest to film z zamiarem, a to dużo usprawiedliwia. Po wtóre, jako debiut ,to mimo tych czy innych uchybień każe się jednak odnotować „Krzyż walecznych" w rubryce „filmy udane". Premiera „Krzyża" — to klasyczny przykład sytuacji w której mówi się, że obraz choć niedobry — rokuje młodemu autorowi przyjemne nadzieje na przyszłość.

Panie Redaktorze!

Ja w sprawie filmów niedozwolonych dla młodzieży. Faktycznie, można legitymację podrobić, wpisać nową datę urodzenia wg Pana Redaktora opisu, ale to nie zawsze dobry sposób. Bileter, gdy coś zwietrzy, to zaraz się robi cięty i milicjanta woła, aby pałką w wątpliwości wkroczył. Ale i bez tego wpisanie daty to przeżytek. Najlepiej pożyczyć legitymację od starszego kumpla i własne zdjęcie wkleić. Ja w ten sposób widziałem kupę zabronionych filmów, z „Nieznośną dziewczyną" włącznie.

Pan Redaktor nie napisał jednak o najlepszym sposobie, a szkoda! Proszę więc przyjąć do wiadomości, że bez kłopotów z biletami i bez dawania kumplowi pieniędzy za legitymację — każdy prawie film zobaczyć można w kochanej polskiej telewizji! Jak nasz telewizor przestał grać i lampę kineskopową wymieniałem, to kto mi w domu powie, że jakiś film jest dla mnie niedozwolony? Mało tego, jeszcze kolegów zapraszam, prawie całą klasę i razem wszystko oglądamy bez trudu. Myśli Pan Redaktor, że się z tym musimy ukrywać? Nic podobnego. Tata zawsze powtarza, że w naszym kraju filmy są tylko po to dla młodzieży niedozwolone, aby się dorośli na nie pchali. I gdyby to od niego zależało, to by mnie mój tata na każdy film puścił. Chyba ma rację, prawda? Bo to przecież dziury w niebie nie będzie, jeśli nawet zobaczę jak się ktoś całuje nie w parku i nie ze mną, tylko na ekranie.

Łączę pozdrowienia

MAREK T.
(nazwisko znane redakcji)

Ten sympatyczny pan o miłym spojrzeniu, to jeden z najwybitniejszych współczesnych aktorów filmowych — Alec Guiness, główny bohater filmu „Most na rzece Kwai". Jego talent, sztuka aktorska są wysoko oceniane na całym świecie. Dowodem tego są liczne nagrody, jakie otrzymał dotąd na międzynarodowych festiwalach filmowych. Na zdjęciu widzimy go w towarzystwie uroczej Odile Versois w scenie z filmu „Z miłością do Paryża".

Białe myszki

Z Polonią na bakier

Pani Alicja Bobrowska, niedawna „Miss Polonia", jak wiadomo spotkała się w Stanach z entuzjastycznym przyjęciem tamtejszej Polonii, zachwyconej międzynarodowymi sukcesami rodaczki. Pani Alicja wróciła do kraju i kończy właśnie Szkołę Aktorską w Krakowie. Podczas zamorskich wojaży odrzuciła szereg intratnych propozycji, składanych jej przez producentów filmowych i przedstawicieli najpoważniejszych koncernów. Wówczas zachwyt Polonii nie miał już granic, a wyrazem tego stał się m. in. zgrabny „Ford Prefect", ofiarowany p. Alicji na pożegnanie. Później nadeszła wieść że Polonia Amerykańska chętnie by kupiła za duże pieniądze wszystkie filmy polskie, w których mogłaby obaczyć swoją ulubienicę. Prasa polonijna roztkliwia się nad dziewczęciem, które z tęsknoty do kraju, szkoły i narzeczonego zrezygnowało z sukcesów za oceanem. I wszystko zdałoby się wyglądać dość sielankowo, gdyby nie pewien, raczej nieoczekiwany zgrzyt. Oto nasi twórcy filmowi jakoś się nie spieszą z angażowaniem pani Alicji, a reklamowana swego czasu jej rola w filmie „Cafe pod Minogą" (wg drukowanej niegdyś przez „Przekrój" wesołej powieści Wiecha) okazała się nieciekawym epizodem. Zorientowawszy się, że przypadnie jej w udziale powiedzenie zaledwie paru kwestii — p. Alicja niezwłocznie odprawiła autorów niewczesnego żartu, i cały Kraków mówi o tym komicznym wydarzeniu.

A życzenia Polonii Amerykańskiej w dalszym ciągu są załatwiane odmownie.

Debiut aktorski Sławomira Mrożka

Ha, nikt nam na to pytanie nie zdołał odpowiedzieć, no i nie wiemy... Nie wiemy, czy Sławomir Mrożek występował już kiedyś (incognito?!) w filmie czy na scenie, czy też istotnie mamy teraz do czynienia z jego debiutem. W każdym razie sądzimy, że warto przerwać zmowę milczenia prasy fachowej i zanotować fakt, który winien być przyjęty z entuzjazmem przez miłośników rodzimego kina. Oto doborowa plejada naszych gwiazd wzbogaciła się o osobę popularnego satyryka! Pilni czytelnicy „Postępowca" — sympatycy „Maleńkiego lata" i „Słonia" — poznają swego ulubionego autora w sylwetce przystojnego bruneta, kreującego w filmie pt. „Rondo" postać głównego bohatera. Identyfikacja nastąpi tym łatwiej, że satyryk nie obrał sobie żadnego efektownego pseudonimu.

„Rondo" — to film z „podtekstem" lekko filozoficznym. Dlatego miejsce tradycyjnej anegdoty zajmuje tu niedopowiedzenie, pozostawiające dużo zajęcia dla wyobraźni i domyślności widza. Nie znaczy to jednak, że film zrezygnował z anegdoty w sposób ostateczny. Ba! jest tu i akcja, i gustowne wnętrze restauracji („Malinowa"!) i jeszcze liczne atrakcje natury operatorskiej tudzież znakomite rozwiązania reżyserskie. A w finale wszystkiego mamy jeszcze Mrożka — mordercę, słowem film jest po stokroć wart zobaczenia, jako celu tradycyjnego (i sądzimy, że bliskiego już...) festiwalu filmów PWSF.

Efektowne zdjęcia, które reprodukujemy obok, pochodzą z omawianego filmu i dają pewne pojęcie o jego klimacie. „Rondo" — to rzecz z pogranicza eksperymentu i rzetelnego, tradycyjnego warsztatu. Okazuje się, że można te skrajności pożenić w sposób dość szczęśliwy, gdy imprezie przyświeca wyraźny sens realizatorski. „Rondo" jest filmem trudnym, niemniej winien on znaleźć się w repertuarze kin o charakterze specjalnym, jako pretekst do interesujących dyskusji.

A teraz, ze względów protokolarnych podajemy najważniejsze informacje personalne. Autorem scenariusza i zarazem reżyserem filmu jest młody twórca Janusz Majewski (współautor scenariusza i współscenograf filmu „Kalosze szczęścia"), zdjęcia wykonał Witold Leszczyński, a kamerę prowadził Mieczysław Małysz. Warto — jak się rzekło — przyuważyć wysoką rangę roboty filmowej Majewskiego, roboty popartej dobrą fotografią i starannym montażem. Odnosi się jednak wrażenie, że sukces realizatorów byłby niepełny bez udziału fotogenicznego Sławomira Mrożka.

EDWARD ETLER